



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Pierwszy rok małżeństwa.

Trembecki, w szlachetnem pojęciu natury człowieka i jego przeznaczeń wśród życia, woła: że kto zdołał raz poczuć porządne kochanie, albo już jest enotliwym, albo się nim stanie (*), i w sądzie naszym o ludziach można się opierać na podstawie tego zdania. Starożytność przedstawiała sobie bożka miłości niewidowym. Zawiazane oczy Amora są symbolem tej wrodzonej szlachetności człowieka, że nie może on widzieć wad drogiej mu istoty, bo ukochanie doskonałości leży w prawach jego natury, i ztąd też kochankowie, stając się sobie małżonkami, powinni pamiętać o tem, że miłość, którą w sobie wzbudzili, odziała ich szatą cudowną, dającą im blask tych wszystkich przymiotów, jakie miłość każdego z nich pragnęła widzieć w drogiej mu istocie. Szczęście zobopólne leży w tem, aby rozczerwanie przyjąć nie mogło, i dlatego-to młodzi małżonkowie powinni czuwać nad sobą: wady swoje przytłumiać, a cnoty tak rozwijać, aby opadnięcie tej opaski, którą miłość w gorącym swem uczuciu pierwszym wzrok im zasłaniała, nie przyniosło bolesnego uczucia zawodu.

Pierwszy miesiąc małżeństwa dlatego zowie się miodowym, że nie z tego, co potem dolewa nam w kielich życia gorczyca, nie miało jeszcze czasu wystąpić; lecz wiedzieć nam trzeba, że zawsze być tak nie może, bo są troski, są kłopoty—są ciężary do dźwigania, które z konieczności na barki nasze brać musimy. Najważniejszym też warunkiem

szczęścia w każdym położeniu życia jest świadomość konieczności owej, i tam, gdzie jest miłość prawdziwa, nie zalicza się to bynajmniej do nieszczęść, że trzeba nam brzemie swoje nieść, a nawet należy to do cudów miłości, że nie ciąży nam ono, i troszczymy się o to jedynie, aby nie przygniatało znaną ukochanej nas istoty. Podział pracy jest tu koniecznym, i złe tam jest, gdzie u wstępu do życia we dwoje dokonanym zaraz nie zostanie, o co kobieta upomnieć się powinna, bo to niewątpliwie do jej praw należy, aby nie była tu jedynie zjadaczką chleba, i dostarczania jej wszystkich wygod i środków istnienia nie uważała za obowiązek męża.

Cięży to na nim jak powinność, aby ognisko domowe jego siłą, jego staraniem głównem wznieśmionem było, lecz jej należy nad niem czuwać, jej należy to sprawić, aby im obojgu dobrze, ciepło być tu mogło: aby grzały się tu serca i duchy, a mąż nie tracił nigdy tej wiary w żonę, że jest wedle starego wyrażenia kapłanką tego ogniska. Utrzymanie miłości męża zalicza się też do obowiązków dobrej żony, bo miłość wzajemna daje im niezastąpione niczem szczęście; ale musi tu być koniecznie podstawa szacunku, bez którego miłość ta nie utrzyma się nigdy. Jak mąż jest obowiązany uczucie takie w żonie wzbudzać, tak i ona nawzajem powinna je w nim dla siebie stworzyć, a pierwszy rok małżeństwa buduje tu fundament, na którym opierać się będzie przyszłość cała. Niech mąż widzi zawsze w żonie szlachetnie czującą, szlachetnie, podniosłe myślącą istotę—niech to nie będzie wietrznią goniącą za zabawą, tonącą duszą i ciałem w maleńkich życia szczegółach,—a uszanuje w niej równego sobie ducha i obok przywiązania da jej ten szacunek, przez który stanie mu się ona przyjaciółką. Taką parą kochanków, jaką byli sobie przed ślubem, nie mogą pozostać przez życie całe, ale powinna stanąć w to miejsce ta przyjaźń tkliwa i głęboka, o której powiedzieć-by można, że

jest miłością bez skrzydeł, to jest wierną, bo głęboko w sercu noszoną, opartą na podstawie wzajemnego szacunku, za którym idzie zawsze i to uszanowanie się wzajemne, które czyni pożyte wspólne słodkim i szczęśliwym. Formy życia ogładzonego przez cywilizacją nie starczą w tak bliskim związku, i trzeba tu ciepła tego, które tylko w tkliwości serdecznej się rodzi.

Nie samym chlebem żyje człowiek, ale trzeba mu tego chleba, aby istniał, i do obowiązków dobrej żony zaliczyć się to musi, co ona potrzebuje zrozumieć zaraz z pierwszą chwilą małżeństwa, że należy jej być rozumną podskarbiną mienia rodziny, rozumną domową swego gospodynią. Niech też rozrzućta i płocho wydatkująca nie mówi, że mąż kocha, bo nikt kochając nie przysparza istocie kochanej trusk, nie spowoduje na nią kłopotów przykrych, nie zmusza do pracy męczącej, co tu jest koniecznem rzeczy następstwem, gdy życie nad stan brzemie trosk o utrzymanie rodziny na barki męża zwała. Pierwszy rok małżeństwa znaczy tu bardzo wiele, bo niełatwo jest zmienić raz zaprowadzony tryb życia—niełatwo jest wrzekać się nawyknień swoich. Do liczby wielkich błędów zaliczyć tu trzeba, gdy młodzi małżonkowie zapragną obchodzić święto swego szczęścia używaniem wystawnego nad stan życia. Stara piosenka: Choćby w chatce, byle—z nim... jest wyrazem jedynie prawdziwej, jedynie niesamolubnej miłości, bo godne tej nazwy uczucie nie potrzebuje na dodatek szczęścia garnąć sobie używania wykwintnego; nie potrzebuje zadowoleń próżności. Modny też obecnie zwyczaj podróżowania po ślubie jest niedobrym małżeńskim życia początkiem. Czy to nie szkoda najskłodszym życia wspomnieniom dawać tło obce? Czy nie lepiej, aby zamieszkały one wraz z nami w domu naszym—aby wyzierały potem do nas z drogiej domu tego kątów? Daje to potem pomoc dobrą niejednej życia chwili, bo gdy chmura jaka nasunie się na słońce życia małżonków, gdy nieporo-

(*) Słowa Elzusi w scenie III aktu I komedyi *Syn Mar-notrawny*.

zumienie jakie cień swój między nich rzuci, dobrze jest, aby wspomnienie pierwszych chwil ich miłości wyjrzało do nich z zakątka jakiego i przypominało słodkie przeszłości momenta. Miłość jest poezją życia, i nie trzeba też istnienia naszego z poetyczności obdzierać, aby siła uczucia miłownego w nas nie słabła. Angielski moralista Swift dał dobrą radę kobiecie, pisząc, aby na skrzydlate ptasze miłości nie tylko zastawiała siatkę, ale budowała zaraz klatkę, szczelnie się zamykającą, bo łatwo uciec jej ono może. Aby mężczyzna, kochanek czy mąż, zachował w sercu miłość niesłabnącą przez lata, trzeba, aby kobieta nie rozbiierała się z tych szat ideału, które nosiła, gdy ujrzawszy ją, pokochał, bo cóż jeżeli wdzięczna, łagodna, skromnie rumieniąca się dziewczyna stanie się naraz opryskliwą samowolną babą Herodem, gdy wedle przysłowia „Słowacki idzie pod placki”? To już nie ta, która w nim miłość budziła; maska spadła i on zostaje boleśnie zadowolony, dotknięty okrutnie, i uczucie miłości mimowoli jego z serca precz ucieka. Czas musi wywrzeć wpływ swój na urodę kobiety, musi zmienić pod tym względem oboje; ale serce, ale dusza powinna niezmienną pozostać pod groźbą utracenia i tych skarbów wszystkich, które młodość gromadziła nam na zapas dla życia. Ludzie, którzy nie umieli zachować sobie tych obdarowań młodości, stają się nie tylko posępnymi hipochondrykami, ale i cynikami, którzy nie wierzą w szczęście miłości, bo nie wierzą w to, co je daje.

Miłość młodej małżonki bywa często zazdrośna o przeszłość: pragnie oderwać ukochanego nawet od wspomnień, zabrać go wyłącznie dla siebie, własnością serca swego całkowicie uczynić; jest przecież w uczuciu takim więcej egoizmu, niżeli gorącej miłości, i jeżeli mąż nie ma dość siły, dość woli mocnej, aby się takiemu despotyzmowi oprzeć, nie tylko cierpi, ale ponosi i szkody wielkie, bo zrywa się wtedy węzeł, który go łączył z młodością i wszystkim tem, co młodość ta niosła mu w darach zapału i szlachetnych porywach uczucia. Przyjaciele młodych dni naszych to wspólnicy owych uniesień czarownych, wśród których, wyciągając przed siebie ramiona, wołamy: — Młodości, ty nad poziomy wylatuj! — Ciepła rzeczywistość życia przykuwa nas potem do tego pługa pracy, który zaorywa pole istnienia naszego pod plon powszedniego chleba; trzeba nam przecież chować wspomnienia owych jasnych, czystych życia momentów, aby nie zejść na poziom tak niski, że już nie widać ztamtąd jasnych błękitów ideału. Młoda małżonka powinna też, nie tylko nie odrywać męża od przyjaciół jego dni młodych, ale przeciwnie należy jej baczyć pilnie, aby węzły te nie rozluźniały się, nie traciły siły swojej. Do zarzutów, jakie czyniono małżonce Mickiewicza, ten właśnie należał, że usiłowała stawać między nim a towarzyszami jego młodości, i smutne skutki wpływów towianizmu czy nie dlatego znalazły drogę do tego wielkiego umysłu? A jakże bolesnem, okrutną tragedją jego życia odsłaniającem jest to wyznanie, że z Celiną swoją doszedł do porozumienia wzajemnego dopiero w chwili, gdy śmierć przyszła ją zabierać jego miłości?

Nie bliższym sercu żony staje się mąż, oderwany od ukochań i związków przeszłości swej młodej; lecz, przeciwnie, musi tam tkwić żal, musi tam być na dnie serca zbierająca się gorycz, i ten, który tu ulega niepojmującej go kobiecie, czuje niemniej, że ukrzywdziła ona jego życie, odbierając mu pomoc naturalną i prawidłową każdego ludzkiego istnienia: odcieła go od młodości jego.

Pierwszy rok małżeństwa stanowi zwykle o przyszłym układzie życia, i jest to w stosunku do tego życia jakoby wiosna — czas zasiewania owych ziarn wszystkich, które potem plon tu wydać mają na wyżywienie, ubogacenie rodziny. Żona ma prawo wymagać od męża, aby pozostało w nim coś kochanka, lecz i ona taką też być powinna, aby mu przypominała słodkie chwile jego miłości: obojgu należy pilnować się tutaj i pamiętać o tem, co ich zbliżyło do siebie. Mąż z zawodowego, towarzyskiego położenia swego ma więcej stosunków ze światem, ze sferami temi, wśród których daje się odczuwać silniej „co duch czasu

kryje w głębi”: żona, z natury rzeczy przywiązana więcej do domu, do spraw jego drobnych, lecz rozlicznych, musi mniej, niżeli on, udzielać się ludziom — musi zajmować się więcej sprawami życia praktycznego, bo waga jej obowiązków pada na sprawy domowe, i dlatego też powinna baczyć pilnie, aby nie zadomowiła się zanađto — nie utonęła całkowicie sercem i umysłem w sprawach pełniącego się tu życia. Młoda mężatka już o tem pamiętać powinna — powinna nie zapominać tego, co było niegdyś jej pokarmem duchowym, nie odrywać się tak od świata myśli i tego, co świat ten chowa w głębi, aby nie stał jej się wkrótce obcym — nie tonąć całkowicie w drobnych, jakkolwiek zkadinał ważnych, przedmiotach codziennego życia; gdyż wtedy musiałby nastąpić między nią a mężem ten rozwód duchowy, który uczyniłby ich sobie obcymi. Zaraz w pierwszych początkach małżeńskiego pożycia należy kobiecie objąć myślą tak wszystkie drogi swych obowiązków, jak i kamienie obrażenia, z którymi spotkać się tu może, i przenieść w sferę umysłu, w sferę uczucia nakaz, odnoszący się do materyjalnego porządku jej życia: — Dla każdej rzeczy miejsce wyznaczyć należy i wiedzieć, czy rzecz każda w swoim miejscu leży...

Przy dobrej woli, przy uczuciu obowiązku, przy odsunięciem na bok egoizmu, potrafi dokonać tego każda rozsądna, niezłego serca kobieta, a wtedy nie kłamliwie i nie w chwili rozmarzenia powie sobie i światu: — Choćby w chatee, byle z nim... z wybranym na życie całe towarzyszem i kochankiem.

M. J.

PRZEDWIOSNIE.

Kiedyś uciekł, znikł
Z zawieruchą wiatr;

Rozplynęły się
Nad doliną mgły,
Rozplakały się
Lody ciemną łzą, —
Idzie wiosna już,
Idzie — śmieje się;
Idzie — nuci wciąż
Taką cudną pieśń,
Że się dusza rwie
Hen, daleko gdzieś,
W jakiś cudny kraj,
W nieznajomy kraj.
Oj! poleceć ja
Na orany łąn,
Co daleko legł,
Jakby czarny płat,
Na szeroką pierś,
Na ziemicy pierś!
Oj! poleceć ja
Na rozłogi pól;
Naraduję się,
Taj napatrzę się
Na szeroki świat, —
Na ten wolny świat,
Co tam sięga hen,
Aż za pasma gór,
Aż za nieba skraj!
A i pójdeż ja
W ten sosnowy bór,
Co tam smutny stał,
Ciche szeptał sny,
Otulony w śnieg.
A i huknęż ja
Rażno: „hop! hop! hop!”
Toż przebudzi się

Od ciężkiego snu
Zadumany bór:
I odezwie się
Mój wesóły głos;
I poniesie go
Echo, szybki ptak,
Aż przez cały las,
Aż przez cały świat,
Do wysokich gór:
I powróci znów
I odpowiedź da. —

Mortan.

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

Dochodzili do bramy, gdy właśnie w dziedziniec zatoczył się piękny powóz i stanął przed gankiem. Galonowany lokaj otworzył ozdobione herbem drzwiczki karety, z której wysiadł mężczyzna suchy, słuszny i ruchliwy, w jedwabnym sprężynowym kapeluszu i popielatej barwy palto, który, rozsunięty na piersi, pozwalał dojrzeć połę fraka i małą kolorową wstążeczkę w dziurce od klapy.

— Szambelan! — szepnął Michał.

— A! — zakrzyknął Zygmunt i kroku przyspieszył.

Korabiec zwrócił się do Zofii.

— Żegnam panią! — rzekł krótko.

Sklonił się i cofnął z dziedzińca.

Zosia powolnym krokiem do ganku się zbliżyła, Grzegorz wyszedł na spotkanie przybywającego.

— Zostałem? — spytał gość w nos nieco. Zwrócił się nagle do zbliżającego się Zygmunta.

— Żyż!... *n'est-ce pas?*

Stanął — w tył się pochylił, ramiona otworzył, ale małe, siwe oczki pobiegły szybko w stronę zbliżającej się Zosi.

— Wujaszek Dyzio! — zawołał Zygmunt.

— Poznałeś?... *Quelle mémoire!*... prawdziwie orla!... *Oui, oui... chère amie!*... twój wujaszek, niegdyś szambelan w Tuileryjskim pałacu, dzisiaj?... *Que faire?... tout passe, tout lasse* — dodał z westchnieniem.

Ujął Zygmunta za rękę i kilkakrotnie w powietrzu pocałował.

— Poznałeś!... *c'est incroyable!*... Ach!... — zawołał, cofając się dyskretnie. — *Si je ne me trompe, madame votre femme? n'est-ce pas?*

— Tak, tak — wujaszku, najlepsza z żon!

— Co za karnacya! — szepnął Pierski do siebie, zmrużając wypłowiałe powieki. — *Parbleu!*... ma coś z Eugenii — *charmante*.

Zygmunt zwrócił się do żony.

— Mój wuj — szambelan!

Zosia zbliżyła się, szambelan uniósł kapelusz, rękę wdzięcznym ruchem usunął w bok nieco i rycerskim ukłonem powitał panią domu.

— *Sans compliments!* — odezwał się, przykładając dłoń do serca... — Bogowie mogą ci pozadrościć wyboru, Zyziu!

Sklonił się raz jeszcze.

— *Madame!*

Przeciagnał rękę.

— A teraz, *chère cousine!*...

Podniósł dłoń pięknej Zosi do ust wymalowanych czerwona pomadką i lekki na niej pocałunek złożył.

— Panie...

— Pani!... Tylko Eugenia rękę taką miała — szepnął w duchu szambelan.

— Proszę wuja do salonu — odezwał się Skalski. — Konie do stajni... Grzegorz! rozporządź się — wydawał rozkazy Zygmunt.

— Co? co? co?... Żyż? — zawołał szambelan. — Konie do stajni? *quelle idée?*... Ja na pół godziny tylko... *pas plus!*... Obowiązkowa wizyta, nie nadto!

— To nie miasto, panie wuju, ale gościnna Ogarówka — zaśmiał się Skalski.

— Wiesz mnie więc *par force*?

— Jeżeliby nie można było inaczej, to i tego chwycę się środka.

— Ehe, ehe, ehe — zaśmiał się Pirski — koła pozdejmować każę!... Prawdziwy Polak!... Więć, jestem więźniem. No! nie straszne to więzienie — (skłonił się Zosi) gdy taki dozorca straż trzyma.

Młoda gosposia wskazała drzwi salonu.

— Proszę, pana szambelana!

— *Jamais!* — wykrzyknął, cofając się Pirski — naprzód pan!

— Pierwszeństwo gościowi się należy — mówiła Zosia z uśmiechem.

— *Pas toujours! pas toujours!*... Pierwszeństwo zawsze damom.

— No, nie ceremoniuje się — odezwał się Zygmunt.

— A więc — rzucił szambelan.

Podał rękę Zosi i razem z nią przestąpił próg sali.

Szambelan usiadł na wskazanym miejscu, nogę na nogę założył, przeciągnął daleko od siebie, co pozwalało dojrzeć cienkie jedwabne pończochy, kryjące się w płytke kamasze, z przodu srebrną klamrą spięte. Naprzeciw usiadł Skalski.

— *Savez-vous!* — zaczął Pirski — że to niespodzianka dla mnie prawdziwa, zobaczyć ciebie ożenionym.

— Wujaszek nie o tem nie wiedział?

— A zkąd? Tyle lat jak w kraju nie byłem... Wrosłem w Paryż — *je suis devenu Français*... Gdyby nie republika, nie porzuciłbym go nigdy!

— W Berlinie wuj się widział z Korabiczem?

— A! z tym Michałkiem?... *Oui, oui* — przypominał tam mi się, lecz o tobie nie mówił.

— Może pan szambelan nie pytał?

— *La belle cousine* posadza mnie o grzech taki?

— Bo zdaje się pan Michał wspominał...

— Co on wspominał! — rzucając lekko ramionami, zaśmiał się szambelan. — *Passons!*... Jakże tam z sąsiedztwem żyjecie?

— Jak dotąd, wystarczaliśmy sobie sami — odpowiedział Zygmunt.

— Nie było to trudnem dla ciebie, Żyż!... Uszczknąłś królewski kwiatek.

Dobyl z kieszeni malutkie srebrne pudełeczko z cukierkami i, otwierając je, podał Zosi.

— *Madame?*

— Dziękuję...

— O ten, z likworem... *Sans peur*, trucizny nie daję!... Brane u Sirodena, pierwsza konfiseria w Paryżu.

Nie było rady: potrzeba było wziąć cukierek z likworem.

— Prawie jedynem mojem pożywieniem są cukierki, przekładam je nad wszystko... *Non, non, non, non* — zawołał nagle. — *Il y a des choses plus douces, que les bonbons!*...

Pochylił się — i lukrecyowy pocałunek złożył na ręce Zosi.

— Niezwykle sympatyczny człowiek! — mówił Zygmunt, gdy po wieczery udał się z żoną na spoczynek.

— *Charmante femme!* — szeptał do siebie szambelan, nakrywając się kołdrą jedwabną.

Jakkolwiek na półgodziną wizyte wybierał się Pirski do Skalskiego, zaopatrzyl się jednak w całą garderobę i wszystkie toaletowe przybory. Nożyczki do paznogi, bielidło, róż ukryte były w przeznaczonych na to szkatułce — znalazły się też różne elixiry i pomadki, mydełka i szczoteczki; nawet srebrną miednicę wydobyl kamerdyner szambelana i ręczniczek w wyszytym herbem w rogu; kompletną pościel również wiozł z sobą, jako też kryształową karafkę i szklanę.

Przed udaniem się na spoczynek Pirski do wody kilka *maczków* rzucił, jedną kroplę przeniósł do drugiej szklanki, następnie do trzeciej — wypił,

„fort! — słuzacemu powiedział i w miękkich zanurzył się puchach.

— *Mignonne!* — szeptał, zmrużając ociężałe powieki. — He? rzucił sennym myślom pytanie, uśmiechem dał odpowiedź — ziewnął lekkim *staccato*, obrócił się na lewy bok i delikatnie chrapać zaczął. Za drzwiami zaraz spał kamerdyner, który, wołany kilkakrotnie przez szambelana, przychodzić musiał, to wodę mu nalewać, do której tajemnicza spływała kropla, to poduszki poprawiać, lub, w razie bezsenności, lechtać w piętę.

Około jedenastej przed południem pan szambelan się obudził. O południu chciał odwiedzić go Zygmunt, ale Pirski nieczyli wizyt o tak wczesnej godzinie nie przyjmował. Przyniesiono mu na srebrnej tacy białą kawę, którą w przedpokoju z rąk Grzegorza odebrał kamerdyner i zaniósł szambelanowi. Zegar uderzył pierwszą, gdy szlachetny gość zjawił się na pokojach.

Wyświeżony, z lekkimi rumieńcami na twarzy i koralową ust barwą — wyglądał bardzo interesująco; w oczach jego błędziło rozmarzenie jakieś; zmrużał co chwila powieki i przenikliwym spojrzeniem uporeczywie prześladował Zosię. Bóg wie o czem marzył; ale, gdyby mu chęćka wesołej zabawy przyszła, pewny był siebie. Przeszłość mówiła za nim — o terażniejszości miał dobre rozumienie jeszcze. Nazwisko, tytuł — to takie olśniewające! Raz wytknąwszy cel jaki, przed przeszkodami nie cofał się; nie mogąc ich usunąć, druzgotał. *Przegranej* w jego słowniku nie było. Rozkosz lubił, lecz się nie kochał nigdy. Epikurejczykiem był w najgorszym tego słowa znaczeniu.

Zygmunt czekał na szambelana w salonie — Zosię we drzwiach spotkał.

— A!...

Skłonił się, o krok się cofając.

— Jak róża!... *belle! fraîche! pleine de charmes!*...

Bon jour, Żyż!...

Pocałowali się w powietrzu.

— Może wujaszek na balkon pozwoli, dzień mamy prześliczny!...

— U ciebie wszystko jest śliczne!...

— Zaczawszy od żony — dodał Zygmunt z uśmiechem.

Przeszli na balkon, szambelan usiadł na fotelu, opierając się prawą ręką o ballustradę.

— *Imaginez-vous!* jaki sen miałem, doprawdy, brzydkie sen... *Je rêvais...* że mąż pani — zakochał się.

Zaczął się śmiać.

— Co za sen!... *imaginez-vous!*...

— Rzeczywiście, że sen — odpowiedział Skalski.

— A gdyby tak było w rzeczywistości? co paniby na to?

— Pan szambelan za trudne mi daje pytanie.

— Na które zawsze odpowiedzieć można — *aujourd'hui on peut répondre!*

— No, co byś na to, Zochno?... — zapytał Zygmunt, ciekawie patrząc w twarz żony.

— *Eh bien! eh bien!* — zawołał Pirski — *donnez la réponse à votre mari, la réponse* — właściwą zapytaniu.

— Potrafiłabym i ja to samo — zaśmiała się Zosia.

— *Ca, ca, ca! bravi!* — krzyknął szambelan, uderzając w dłoń lekko. — *Tu penses, Żyżiu, że dzisiaj kobiety są kreaturami bez zółci i woli?* *Tu te trompes, mon cher!*... Dobijają się równych praw z nami i mają słuszość! *La réponse est magnifique!* — dodał, podając gospodyni pudełko z cukierkami.

— Z likworem, *ca!*... *Sirodin*.

W przepyszny był humorze dzień cały — śmiał się, rzucał dowcipy, nawet przy fortepianie usiadł i ognisty romans zaśpiewał. *Je t'aime!* — jako *le refrain*, brzmiało po każdej strofie. Wtedy czoło unosił ku niebu, siwe oczki do Zosi zwracał i z drżeniem w głowie (co było fatalnem figlem czasu) *„Je t'aime!“* powtarzał. To podniesienie oczu do sufitu, pozwalało dojrzeć parę fałdów na szyi szambelana, których już żadna sztuka ukryć nie zdołała.

Zosia, każdą apostrofę zwróconą do siebie, rozumiała inaczej, niżby sobie życzył szambelan, który, pomimo różu i bielidla, jako salonowiec, podobać się musiał każdemu. Rzucał dwuznaczniki, w lot chwytając czyjaś słabość i smagał nią ostro, lecz w sposób niedający prawa do obrazy; damom

rzucił na ucho słówka pełne cukierkowej słodyczy i po ich stronie stawał zawsze, gdy w grę wchodził mężczyźni, wszelki zaś błąd w jego oczach, nie tylko miał racją bytu, lecz był „miłą koniecznością“, wypadkiem, bardzo popularnym w wielkim świecie.

— Ah! *je vous dirai une histoire très amusante!* — mówił w stosownej chwili. Zaczynał od „*Faubourg St. Germain*“, przechodził „*Plac de la Concorde*“ i kończył „na lasku bulońskim“. Najdrażliwszą rzecz owijał w różane listki i tak przyrządzoną potrawkę na wety dawał. Śmiano się ze sposobu opowiadania. Zosia polubiła szambelana, Zygmunt rozkochał się w nim prawie.

— Co za werwa! za życie! — mówił.

— Doprawdy, że jest przyjemny — odpowiadała. Przed wieczorem szepnęła do Zygmunta:

— Może napiszesz do pana Michała, żeby do nas przyszedł?...

Zygmunt szybko poruszył głową.

— Czy to dla szambelana towarzystwo...? — mruknął.

Pirski nie spieszył z odjazdem. Zawsze świeży, strojny, wymuskany, staranny o wygląd swojej prześlicznej twarzy — teraz dokładał sił wszystkim, by nieco młodzieńczo wyglądać. Nim opuścił sypialnię i na pokojach się pokazał, dobrą godzinę przed zwierciadłem przesiedział. Opilowywał paznogie, nadawał im kształt podługny migdałów, zapuszczał następnie parę kropli karminu i barwił nim końce palców. Wprawna ręka wielkoświatowego eleganta ustawiała bez trudu kilka lusterek naraz, w ten sposób, że jednocześnie mógł siebie ze stron wszystkich obejrzeć. Tu na twarzy zarysowało się zbyt wyraźnie zmarszczka — właściwem użyciem bielidla wgłębienie jej zmniejszył; na ogolonej brodzie dostrzegł włos zostawiony przez nieuważnego kamerdynera, spełniającego przy nim urząd balwierza — więc szarpnięciem stosownych szczypcyków włos wyrwał, a zaczerwienione miejsce malutką muszką ozdobił; rysował kontury brwi, ustom nadawał żywą barwę koralu, kładł cienie pod oczyma, by im nadać wyraz smutku lub miłosnego znużenia. Była to odrębna sztuka malarstwa, zwykłym śmiertelnikom nieznana weale. Posiadł ją w Paryżu, zastosował poraz pierwszy, gdy klucz szambelański u boku zawiesił, a zegar czasu wydzwonił nielitościwie pięćdziesiątkę. Podczas tej pracy własnej nad szambelańską osobą do gabinetu wchodzić nikomu nie było wolno. Szambelan pracował, czynność tę przerywając co chwila emoktaniem cukierków od Sirodena.

Wierny wielkopańskim zwyczajom, do stołu zawsze we fraku przychodził; po wypiciu czarnej kawy strój zmieniał. W dniu przybycia do Skalskich przedstawił się, oczywiście, we fraku, nazajutrz włożył na siebie garnitur popielaty i kapelusz tejże barwy, koguciem ozdobiony piórkiem, na dzień trzeci ubrał się w kratki, czwartego pojawił się w czarnym palmerstonie, zapiętym na wszystkie guziki, przepysznie do figury skrojonym. Włosy tylko szambelana nie zmieniły koloru i świeciły statecznie niepoliturowanym mahoniem.

Zdziwiła się pani Zofia jego wysmukłej postaci i jakimś rozmarzeniu w oczach. Szambelan czasem wzdychał, a przy „dnie dobry“ dłużej w swych palcach zatrzymał dłoń młodej mężatki. Zosia poczuła ich ruch klawiszowy, który nagle się zmienił w akord długo pedałem przytrzymany.

— Mam nadzieję — szepnął, przechodząc się z nią po parku — że pani zechcesz Brzezin nawiedzić? *N'est-ce pas, Żyż?* — dodał, zwracając się do idącego obok Zygmunta — że zrobisz mi ten zaszczyt i piękną żonę swoją przywieziesz?

— Jeżeli wuj tylko pozwoli!...

— Pozwoli!... — przerwał szambelan — prosić tylko, jeżeli nie błażyć o to mogę!...

Zwrócił się do Zosi.

— Pani uszczęśliwił mnie zechce? o zgodę pani najbardziej mi tu chodzi.

— Czy pan szambelan wątpi, że miło mi będzie odwiedzić kuzyna mego męża?

— Postaram się, by pani na rozrywkach w Brzezińskiej rezydencji mojej nie zbywało. *Grand bal* nawet mam zamiar wyprawić. *Ca!* o dniu oznaczonym zawiadomię. Żyż! lubisz tańczyć?

— Bardzo.

— Pani nie pytam, bo wiem, że taniec być musi jej żywiołem. *Comme un oiseau dans l'air* unosić się pani musisz... Ah! *comme nous nous amuserons bien!* Bardzo dużo person będzie, cały nasz świat. Obecnością swoją uszczęśliwić też mnie zechce i ta *baronnesse Natalie*, wcielenie uroku... *Pas pour moi*, tylko nie dla mnie—dodał szybko, pochylając się do Zosi.—Słyszeliście państwo o Natalie?

— Nie znamy jej wcale.

— *Une histoire!* — wykrzyknął Pirski, rzucając lekko ramionami—historia bardzo naturalna, zresztą w życiu kobiety światowej, pięknej, mającej—*figurez-vous*—za męża staruszka przeszło pięćdziesięcioletniego... *Vous comprenez?* Coś tam zaszło, *vous comprenez!*... Baron był *plein de jalousie*... brr! co za brzydka przywara! no, i rozstali się. Baron obecnie siedzi we Lwowie, a piękna Natalia jak ptak buja swobodnie, czarując dookoła.

— I ona—ma uszczęśliwić dom pana szambelana?—spytała pani Zofia złośliwie.

Szambelan śmiać się zaczął.

— O, o, o! jak tu u was sielanką czuć!... *A, pardon!*—rzekł nagle.—Sielanka taka śliczna, w której sam skapać się pragnę; odżyć, odmłodnieć!... Niech pani literalnie ostatnich słów moich nie bierze... Nadto dużo zostało mi jeszcze z uczuć młodych, porywów, zachwytów—nie było tylko stosownej chwili, by one moc swoją pokazały.

Chodzili w bliższych alejach parku, przeplatając rozmowę historią o niejednej Natalii. Lokaj zapowiedział obiad—szambelan udał się do siebie, by garnitur zmienić.

— Po co, wuju, te ceremonie?—tłumaczył Zygmunt.

Szambelan nie dał się przekonać.

— Nie mogę, *cher ami*, nie mogę... *La force majeure c'est l'habitude!* Bez franka zupy—bym zjeść nie umiał.

Wszedł do gabinetu, drzwi przymknął i ubierać się zaczął.

— Passya, czuję do tej kobiety!—zawołał, stojąc przed zwierciadłem.

Spojrzał w głąb kryształową.

Pas mal! pas mal! szambelanka!

Uśmiechnął się.

— Nie uciekniesz, motylku. *Non, non, non!*—zaśpiewał.

Po obiedzie zaszły konie i szambelan odjechał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HAJOTA.

NAD PRZEPAŚCIAMI

(Wrażenia z Gór Afrykańskich).

(Dalszy ciąg).

Wytrwałość jednak była mi ciężką, coraz cięższą. Ale na widok tej pysznej łąki, pokrywającej pierś wzgórz falistym płaszczem zieleni, tych krajnych zygzaków różnobarwnego kwiecia, odżyłam. Po raz pierwszy uczułam się tu w górach!

Słońce piekło. Byłam mu rada. Droga wiodła nad krawędzią głęboko w dole wyżłobionego łożyska rzeki Esse. W porze deszczowej mszą tu szumięć wspinała katarakty; teraz tylko ich progi skaliste i nagie sterczały ku nam z otehlani.

Wkrótce wypadło nam przejść w bród jeden z dopływów tej uśpionej snem pusuchy rzeki: mały, mętny strumyk, a zarazem ostatnią wodę, jaką mieliśmy spotkać aż do celu wyprawy. Napęły się więc wszystkie możliwe naczynia, a ludzie nasi sprawili sobie kąpiel.

Zaraz potem zagłębił się znowu w las, ale jakiś weselszy, pełen orzeźwiającego chłodu, woni i słonecznych przebłysków. Drzewa były niższe, liany rzadsze; natomiast tu i owdzie z gałęzi spływały długie, delikatne włókna jasno-zielonych

mchów, niby splot włosów wyszarpięty z kosi jakiejś uciekającej Dryady. W lesie tym Tiodo zastrzelił szarą niewielką małpkę. Biedaczka jadła właśnie jakiś czerwony owoc, i trzymając go w zaciśniętych agonii zębach, zwała się u naszych stóp.

Teraz droga stawała się coraz bardziej urozmaiconą i nie tak dziką. Ponownie wyszliśmy z lasu na szeroki grzbiet bardzo stromej, ślizka, twarda trawą porosłej góry. Pięcie się po niej było nadzwyczaj uciążliwe. Upał wzmógł się; nagie ciała naszych ludzi, okryte potem, połyskiwały w słońcu jak ulane z metalu. Żar zdawał się od nich buchać. Miejscami wszyscy musieliśmy się czołgać, aby nie zsunąć się w czarną przepaść leśną, z której wnętrza wyszliśmy niedawno.

Kępki niskich rozłożystych krzaków, podobnych do tatrzańskich kosodrzewiny, rozsypane po tej spalonej słońcem preryi, odbijały wieczystą, chłodną zielenią igliwia od gorąco-żółtego jej koloru. Wyssoko nad trawami bujały prześliczne bukiety białych i złocistych nieśmiertelników, krwawe grona, jarzębinę przypominające, które żony Tioda wskazywały mi z oznakami trwogi, jako straszną truciznę.

Godzinę przeszło trwało mozolne pełzanie pod górę. Ręce mdlały od chwytania za ostre trawy, ale krzepiła nas myśl, że może z wierzchołka tej szklanej góry ujrzemy nareszcie naszą zaczarowaną księżniczkę: szczyt Clarence-Peak'u.

Jakież więc było nasze zdumienie, gdy zauważyliśmy, że zaczynamy znowu spuszczać się na dół i zatoczywszy elipsę po skłonie, wracamy na tosame miejsce, z któregośmy wyszli, to jest na skraj lasu! Tiodo, zainterelowany, co znaczy takie idyotyczne kołowanie?—odpowiedział przez Scotta, że tak chodzili jego ojcowie i on nas tak prowadzi. Był to jednak, jak się później okazało, wykręt; nie znał on dobrze drogi, i właśnie na tym skraju ją stracił, ale nie chciał się do tego przyznać, w nadziei, że ją odnajdzie. Zmarnowawszy więc parę godzin, szliśmy znów dalej lasem wciąż bystro pod górę, aż wydostaliśmy się na wielkie płaskowzgórze, a raczej kotlinę, wieńcem większych i mniejszych wierzchołków okoloną, wysłaną miękką łąką, po której zbolałe stopy deptały z rozkoszą, jak po aksamitnym kobiercu. Bezpośrednio przed nami wznosił się najwyższy kopulasty szczyt—nie był to jednak Clarence-Peak. Zarówno położenie jego jak kształt świadczyły przeciw temu.

Tiodo i Scott chcieli w nas to wprowadzić z początku wmówić, ale widząc, że się nie udaje, dali za wygraną, wymieniając jednocześnie krajową nazwę tego wierzchołka: *Basa-Babu-Eleleh*.

Nie o ten wierzchołek tu jednak chodziło. Sytuacja stawała się niewesołą. Z pomieszanej twarzy bubisa zgadnąć było łatwo, że tyle wie w tej chwili, gdzie szukać Clarence-Peaku, co i my.

Była godzina trzecia po południu. Karawana upadała ze zmęczenia i głodu. Do tej pory szanowny Tiodo wodził nas, nie dając spocząć, ani się posilić, w ciągłych obietnicach, że już, już dochodzimy do punktu.

Wobec tego i niepewności dalszej drogi postanowiliśmy zostać tu na noc. Pan George Scott usłyszał kilka słów prawdy za tak niesumienny wybór przewodnika i zarazem kataryczne oświadczenie, że skorośmy tak daleko zaszli, do celu bądź-co-bądź dotrzeć musimy. Niechaj Tiodo idzie szukać drogi, lecz, żeby mu nie przyszła ochota zemknąć, obie jego żony zostaną pod strażą Krumanów, jako zakładniczki.

Nie podołało im się to mocno; umalowane stola damy pospazmowały na sposób bubiski, to jest, otworzywszy szeroko usta zaczęły terkotać coś tak szybko i bez żadnej przerwy, że od samego słuchania można się było zadyszczyć, ale ustąpić musiały.

Stała więc namiot, po raz pierwszy na równym gruncie, w półkolu małych kępek drzew, niby drobnych gajów rozsianych po całej polanie. Dziwaczne to były laski. Drzewka niskie, pokurezone, splecione ze sobą, bezlistne prawie, okryte białawą, chropowatą korą, niby szronem, a od nich od góry do dołu spływały długie festony brodactych mchów, czarnych, srebrnych, szarych, lub majowo-zielonych. Gdy wieczorem, we wnętrzu jednego z takich gajków Bubisi rozpalili ogień, a czerwone blaski płomienia oświeciły ich czarne postacie, ślizgając się po pniach karłowatych, rozsypu-

jąc złote iskry wśród ciemnej gmatwaniny gałęzi, gdy obłoczki dymu zawisły na chwiejących się zlekka porostach, ujrzelśmy przed sobą jakby fantastyczną dekoracją do „Snu nocy letniej“, istne siedlisko dla Puków i Chochlików.

Wogóle cała ta „dolina szczytów“ miała nieopisany, odrębny urok, którego wspomnienie czaruje mnie po dziś dzień.

Ponad krawędziami opasujących ją wierzchołków leżał drugi, niewidzialny mur bezbrzeżnej ciżmy, wyosabniającej ją od świata, jak oazę niczem nigdy nie zakłóconego spokoju. Burzy w tem gnieździe natury niepodobna sobie było wyobrazić. Samo słońce zachodziło nad niem z jakąś łagodną pieśczęcią. Całą jaskrawość barw swych skryło poza szczytami, a na jasny jak żrenica dziecka lazur, który nad kotliną wisiał, rzuciło tylko pęki różowych i ametystowych smug, niby skrzydła z wolna żeglujących ptaków. A pomiędzy nimi, jak blade szmaragdy, migotały już latarenki wczesnych gwiazd.

Było coś prawie bajecznego w przezroczystości atmosfery, która nas otaczała. Zdawało się poprostu, że zakres wrażeń optycznych rozszerzył się tu nagle, że oko spostrzega całe mnóstwo delikatnych jak pyłek odcieni, subtelnych jak igielki kształtów, które dotąd były dlań obce. A wśród tego wszystkiego żadnego szmeru, żadnego dźwięku, prócz tych ludzkich odgłosów, które my przynieśliśmy się ze sobą.

Natura stała dookoła nas, nie senna, nie drętwa, lecz nieporuszona, jakby w extazie spoczynku bez granic. Taką może była niegdyś ziemia cała w pierwszych dniach stworzenia, nim ją zmęczyło życie!

Od czasu do czasu na zrębach widnokręgu ruchomą plamą ukazywała się czarna sylwetka naszego Tiodo. Widać go było, jak z szybkością małpy biegł ze skłonu na skłon, pochylał się, prostował, wzrokiem badając okolicę, pomieszany, wahający się, obnoszący po tem zaciszu przyrody troskę i niepokój ludzkiej egzystencji.

Noc już była zupełna, gdy wrócił z wiadomością, że odnalazł drogę i jutro wyprowadzi nas na szczyt niewątpliwie. Prosił tylko, aby żonom jego dozwolić wrócić do *Bau-Besé*, dla nich tu bowiem będzie za zimno i za „straszne“.

My tymczasem leżeliśmy na trawie przy ognisku, podziwiając piękność ekwatorialnego firmamentu i dziwny blask wielu nieznanych gwiazd, na które ztąd może poraz pierwszy oko ludzkie spoglądało.

Po drugiej stronie ogniska, piesząc czułem wejrzeniem butelkę Old Tomu—niestety, ostatnią, bo pan George Scott zbyt często pokrzepiać się lubił—siedział ten gentleman, nie bez celu zaproszony, aby nam raczył towarzystwa dotrzymać. Chcieliśmy w ten piękny, cichy wieczór, przy pomocy rozwiązyującego język trunku wydobyc z niego jak najwięcej szczegółów o teraźniejszym władcy Bubisów, królu Moka.

Jest to postać niemal legendarna, otoczona urokiem tajemniczości, której imię cała górska ludność wyspy wymawia ze czcią religijną, która w każdym przebywającym na Fernando Poo europejczyku budzi pełną podziwu i szacunku ciekawość.

Zanim ten nadzwyczajny człowiek został królem czyli *Kokoroko*, działo się wiele rzeczy, których już teraz śladu niema.

Bubisi, choć niby potulni i nie grzeszący odwagą, są kłótliwego usposobienia i ustawiczne zatargi były u nich na pospółku dziennym, a do najmilszych rozrywek należało napadanie mieszkańców jednej wsi na drugich, ku czemu życie wśród gąszczy wybornie im sprzyjało. Europejczyk, tak bezpieczny na wybrzeżach, nie mógł zapuścić się w góry, żeby nie zostać napadniętym, zbitym niemiłosiernie, ograbionym, a częstokroć i zamordowanym.

Mieli przytem ci ludzie, tak łagodni i litościwi w gruncie, że psy swoje, gdy małe, na rękę piastują, parę obyczajów do tego stopnia okrutnych i potwornych, iż pióro wzdryga się przed ich opisem.

Ale oto zjawia się król Moka i wszystko się zmienia. Kradzież i kłamstwo, te dwie enoty etyki murzyńskiej, dostają od niego nazwę zbrodni i na równi z zabójstwem podlegają karze śmierci. Nad

wykonywaniem nowych praw czuwa sąd wędrowny *Boala*, złożony z najzaufanych podwładnych Moki. W pewnych epokach roku *Boala* wychodzi z królewskiego siedliska, i poprzedzana przez heroldów dmących w rodzaj piszczałki, zwanej *Bututu* podąża do najbliższego *Besé*. Mieszkańcy uwiadomieni przez te dźwięki o jej zbliżaniu się, wychodzą na jej spotkanie i wytaczają przed nią wszystkie swe skargi, spory, pretensje i krzywdy, a starają się robić to jaknajprędzej, bo przez cały czas pobytu *Boali* we wsi, ciężaru trzymywania sędziów na nich spoczywa. Wymierzyszy sprawiedliwość, *Boala* udaje się do następnej wsi i tak obchodzi całą wyspę przy dźwiękach *Bututu*, odgrywającej tu rolę trąby archanioła *en miniature*. *Boala* obowiązana jest za powrotem do króla zdać mu ścisły raport ze swej działalności — tym sposobem wie on wybornie co się w jego państwie dzieje, choć sam osobiście nigdy go nie odwiedza.

Zdumiewającym jest wpływ tego niewidzialnego władcy; zdumiewającą wzniosłą, czysto-chrześcijańska moralność pojęć tego człowieka, do którego nie doszło nawet echo pojęć cywilizowanego świata. Bo *Bubisi* tradycyjną swą nienawiść białych i trwogę przed nimi przechowali w sposobie życia swych królów.

Nigdy wyraziściej nie objawił mi się fantastyczny niemal urok, jaki *Moka* wywiera na swoich poddanych, jak tego wieczora przy ognisku, gdym słuchała opowiadań o nim *George'a Scotta* i patrzyła jak ten „kolorowy džentelmen“, ten typ w wysokim stopniu śmieszny i ujemny, jak większość pseudo-cywilizowanych murzynów, ten góral z urodzenia, udający dla szyku, że mu trudno piąć się na szczyty, jak on, na samą wzmiankę świętego imienia *Moki*, stawał się naiwnym dzieckiem natury, ubierającym w nadprzyrodzone kształty wszystko, co kocha, w co wierzy i co mu imponuje. Oto mniej więcej treść jego długiej gawędy:

Na południowej stronie wyspy, w samym środku, pomiędzy zachodnią zatoką *Bokoko*, a wschodnią *Biappa* stoi wielka płaska góra, a w niej otwór głęboki, tak obszerny, że w nim wieś cała wygodnie zabudować się mogła. To *Ryaba*, miejsce święte, siedziba króla *Moki*. Tam on mieszka ze swymi żonami i dziećmi, a chaty sług, domowników i przyjaciół otaczają jego domowstwo.

Król sam jest wysoki, tak wysoki, że najdородniejszych głową przerasta. Siłę jego pięści nie się nie oprze, a oko jego dostrzega mrówkę wędrującą po pniu palmy dalekiej. Chodzi nago i przepasuje się tkaniną z kory drzewnej. Nie widział on nigdy, nie tylko białego człowieka (*Bukara*), ale nawet brzegu morskiego, bo ztamtąd biali ludzie przybywają. Biali dużo złego ze sobą przynieśli na *Má-má-má-má* (tak *Bubisi* nazywają wyspę *Fernando Poo*), i dlatego król nie chce znać nie co od nich pochodzi. Nie używa soli do swych pokarmów, bo sól to przysmak białych, nie pije wódki (*Coroco*), bo wódka z białymi przywdrowała, tytoń nie splamił nigdy ust jego i echo strzału nie zraniło nigdy jego ucha. Ale gdyby się dowiedział, że który z jego poddanych krzywdę białemu człowiekowi wyrządził, ukarałby go srodze, bo sprawiedliwość króla *Moki* nie zna kolorów skóry.

Wszyscy *Bubisi* kochają go i są ślepo posłuszni jego rozkazom; każdy umarłby za niego bez wahania, ale mało kto poza otoczeniem króla oglądał jego oblicze, dostęp bowiem do niego trudny i dla Czarnych, — chyba, że kto, wyjątkowej krzywdy doznawszy, przywędruje ze skargą; wtedy zawsze posłuchanie uzyska. Niedawno, bo przed kilku laty, gubernator hiszpański chciał go koniecznie zobaczyć i namówić, by dzieci swoje do misji katolickiej posyłał. W tym celu wyprawił posłów z bogatymi podarunkami, ale *Moka* podarunków nie przyjął, a na usilne żądanie osobistego porozumienia się, kazał przez ludzi swoich odpowiedzieć, że od gubernatora do niego tak daleko, jak od niego do słońca (*Itochi*).

— A jednak — zarzucił *Scottowi* — znamy dwóch białych, którzy nigdy nie kłamią, a którzy zapewniali nas, że widzieli króla *Mokę* we własnej osobie.

Scott uśmiechnął się chytrze.

— Oni nie kłamią, a przecież go nie widzieli — odpowiedział. Widzieli jego brata, który

bardzo podobny do niego, a którego krewni królewscy, złakomieni na podarki, pokazują czasem tym, co koniecznie chcą króla widzieć. Ale sam *Moka* nie wie o tem, i wpadłby w srogi gniew, gdyby się dowiedział. Bo *Moka* jest człowiekiem prawdy!

Tem, dziwnie w ustach murzyna brzmiącym, określeniem zakończył *George Scott* swoje opowiadanie, a ja zadumałam się nad nim, patrząc w ognisko.

Więc w tym świecie istot nieoświeconych, u których instynkta zastępują miejsce uczuć, a zaspokojenie najpierwotniejszych potrzeb fizycznych starczy za wszelkie ideały, w tym świecie tak poziomym, tak tępym, zdołał zakiełkować i rozwinąć się kult jednego człowieka, który nie zawojuje tych ludzi siłą zbrojną, nie olśnił ich przepychem bogactw, nie zjednał szczodremi dary, lecz cudowną intuicją wiedziona wsparł swój tron dzięki, w kraterze samotnej, afrykańskiej góry ukryty na dwóch najwspanialszych postumentach, to jest na prawdzie i sprawiedliwości!

Zaświtał wreszcie pamiętny dla nas dzień 15-go Stycznia. Ranek był nad wyraz ponury, chłodny, przegnębający. Grube, szare mgły ciężkimi ławicami leżały na skłonach; rosa z szelestem spływała po mchach na wilgotną ziemię, deszcz wisiał w powietrzu, a w oddali razporaz pogrzmiwało przeciągle, złowrogo.

Tiódło miał twarz wystraszoną i milczał jak grób. Tylko, gdyśmy już mieli wyruszać, stanął przed nami, twarzą ku wschodowi zwrócony, i zaczął szeptać coś uroczyste, czyniąc pełne tajemniczości znaki. *George Scott*, również jakby niepojętą jakąś trwogą napełniony, wytłómaczył nam, że przewodnik nasz wzywa w ten sposób wielkiego ducha *Oemo*, by się opiekował nami. Prosił także, aby nakazać krumanom jaknajgłębsze milczenie, gdyż duchy gór nie znoszą głosów ludzkich, i mogłyby cisnąć na nas gromy i nawałnice.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wiadomości z higieny i medycyny popularnej.

Jak zachować zdrowie i życie dzieci?

przez

prof. Dra *Ernesta Brücke*.

Popularyzowanie medycyny weszło w ostatnich czasach na porządek dzienny. Nawet największe znakomitości poświęcają swój czas w celu przemówienia do ogółu w wyrazach jaknajrozumialszych dla wszystkich, co, naturalnie, z konieczności oddziaływać musi dodatnio na zdrowie publiczne.

W ostatnich czasach wyszła z druku w Wiedniu książka, p. t.: „Jak zachować zdrowie i życie swych dzieci“, a autorem jej jest znakomity, w Styczniu r. b. zmarły, fizjolog niemiecki dr. *Ernest Brücke*.

I doprawdy, niepodobna się nie dziwić, że człowiek, który przez 40 lat nie miał żadnej styczności z medycyną praktyczną, a najmniej z jej najmłodszą gałęzią, higieną, zawarł w pracy swej tyle młodzieńczej energii, tyle zapału, jakgdyby to była jego pierwsza praca.

Tymczasem *Brücke* pisał ją mając z górą lat 70; była to jego ostatnia praca, a nadmienić wypada, że, wykładając fizjologię, w początku na uniwersytecie królewskim a następnie na wiedeńskim, poprzedził ją tak znakomitemi dziełami, jak: „*Neue Methode der phoretischen Transcriptionen*“, „*Vorlesungen über Physiologie*“, „*Bruchstücke aus der Theorie der bildenden Künste*“, które, a zwłaszcza to ostatnie, zjednały mu niespożytą sławę w całym świecie naukowym.

Praca zatem takiego człowieka, który „zniżył się“ do udzielenia rad matkom: w jaki sposób należy pielegnować swe pociechy, musi z konieczności dla każdego przedstawić niemałe zajęcie i zarazem posłużyć za przykład wielu młodym synom *eskulapa*, którzy z obawy narażenia swej akademickiej kariery nie „zniżają się“ w podobny sposób jak znakomity *Brücke* i inni jemu podobni.

Zresztą czytelnik w ostatniej pracy *Brücke* go niełatwo dopatrzy znakomitego fizjologa. Uczony ten, który zawsze dobrze się zastanawiał, zanim wypowiedział słowo, w pracy tej prawie gawędzi i niepodobna nie podziwiać, że taki człowiek, który całe życie spędził w pracowni fizjologicznej, tak dalece był wtajemniczony w potrzeby *Milusińskich*.

Rozumie się, że czytelnik nie spotka tu zupełnie nowych odkryć, lecz w każdym razie uwagi zawarte w pracy *Brücke* go są tak trafne, tak oparte na głębokiej wiedzy i różnią się często od innych, że książka powinna się znaleźć w rękach każdej matki troskliwej o zdrowie swych dzieci, i dlatego znaleźć powinna jaknajszybcej łóżeczka.

Zanim to nastąpi, pozwolimy sobie przynajmniej ważniejsze ustępy tu przytoczyć.

Zaczyna tedy autor od wyboru mamki. „Wiem doskonale, — powiada *Brücke*, — że cały dom staje się zależnym od tych tyranek spokoju, lecz gdy dziecku służy pokarm, trzeba się im poddać. Niech będzie leniwa, impertynetka, nieuczeziwa (diebisch), mimo to względy te są żadne w porównaniu z niebezpieczeństwem, na jakie naraża się zdrowie dziecka, zmieniając mu mamkę. Niemożność zgożenia się z innymi sługami, których matka pozbyć się nie chce, nie powinna również nigdy do podobnego kroku doprowadzić. Trzeba bezustannie mieć jeden cel na widoku, a tym jest utrzymanie dziecka w zdrowiu i przy życiu za jakąkolwiek cenę...

„Wszelkie rady lekceważące ten wzgląd doprowadzają częstokroć do powikłań, na których dziecko może bardzo uciepnieć. Matka powinna poważnie traktować mamkę, lecz zanim zdecyduje się powiedzieć przykre słowo, lub odmówić jej żądaniom, niech pomyśli o dziecku: jeżeli jest zdrowe i kwitnące, z pewnością „nie będzie miała serca“ doprowadzić do zmiany mamki“.

Sztuczne żywienie uważa *Brücke* za ostateczny ratunek i ostrzega przed pokarmami roślinnymi. „Niema nie szkodliwszego nad pogląd niektórych matek, że dzieci ich w pierwszych sześciu albo siedmiu miesiącach, karmione wyłącznie mlekiem, cierpią niedostatek, że potrzebują czegoś pożywniejszego. Tu mieści się właśnie źródło tysiąca ofiar!“

„Sztuczne karmienie bezwarunkowo zwiększa śmiertelność między dziećmi, lecz na późniejsze życie, u tych, którzy ocaleli, nie wywiera żadnego wpływu. Dzieje się przeciwnie jedynie wówczas, gdy karmienie było wadliwie prowadzone. W drugiej połowie pierwszego roku życia wprowadzić niema koniecznie dawać dziecku jeszcze inne pokarmy, lecz pozwala się tego; przytem winny one być, oile możności, zbliżone do tych, jakimi odżywia się człowiek dorosły“.

Praca niemieckiego fizjologa zawiera opis szczegółowy różnych części składowych naszych pokarmów, i wykazuje zarazem, że znał on doskonale potrzeby ludu. Między innymi dziwi go to wielce, że mieszkańcy wsi, a zwłaszcza dzieci, tak mało zajmują się rybołówstwem, które mogłoby w wysokim stopniu poprawić ich odżywianie się. „Mięso ryb różni się od mięsa ssących i ptaków jedynie tem, że jest bogatsze w wodę; 4 kilogramy ryb równają się mniej więcej 3 kilogramom mięsa: że tak jest wistocie, dowodzi zdrowy wygląd rybaków nadmorskich, którzy przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, odżywiają się rybami. Że mleko i ser mogą w znacznej części zastąpić mięso, wykazali to na sobie mieszkańcy *Cortiny d'Ampezzo*. W bogatej tej gminie jeszcze do roku 1871 nie było rzeźników. Włosi zaś dlatego mogą obchodzić się bez mięsa, że jadają *polente*. Mąka kukurydzowa zawiera w sobie więcej tłuszczu, aniżeli maki innych roślin zbożowych, a w celu wynagrodzenia braku dostatecznej ilości białka, wypada tylko spożywać ser. Zresztą ubogi Włoch umie doskonale oceniać mię-

so, gdy bowiem dostanie jaki przysmak powiada: „*E' buono, come la carne*“. Co do wegeteryanizmu, to Brücke, podobnie jak inni fizjologowie, uwzględnił ten sposób odżywiania się, odradza go tylko u małych dzieci. „Nie bez powodu wyróżniają się rzeźnicy od trudniących się innemi procederami, swym cielesnym wyglądem; nie tylko ich stan majątkowy tego jest przyczyną, — boć i piekarze, kowale, młynarze miewają się pod względem majątkowym równie dobrze — lecz ich sposób odżywiania się dobrem mięsem. Z drugiej znowu strony dzieją się niewątpliwie pod tym względem nadużycia. W wielu rodzinach weszło w zwyczaj przekarmianie dzieci mięsem, przyczem często słyszy się, że nie chcą go jeść, że trzeba je zmuszać do mięsa. Skargi jednakże tego rodzaju wydają się jedynie tam, gdzie ma miejsce przekarmianie mięsem, albo gdzie dziecko stale otrzymuje leguminy; w tym ostatnim razie spekuluje tak, aby można jaknajwięcej apetytu zostawić na słodycze, i dlatego zjada jaknajmniej mięsa, aby mieć możność podrażnienia podniebienia. Natenczas mówi się dziecku: jeżeli nie zjesz mięsa, nie dostaniesz leguminy, no, i dziecko zjada wydzieloną racją mięsa, a następnie spożywa swoją drogą tyle słodyczy, ile się tylko da, często: — ile sobie z góry obmyśliło; jeżeli tedy nie dostaje za każdym razem niestrawności, to z pewnością po pewnym czasie nabierze nieprzewycięzonego wstrętu do potraw mięsnych, który bywa znacznie uporczywszym, aniżeli do wszelkiego rodzaju innych pokarmów. Gotowanego lub pieczonego, świeżego t. j. niewędzonego mięsa, mogą starsze dzieci i małe, zupełnie zdrowe, spożywać *ad libitum*; przed surowym mięsem strzedz się radzi w każdym wieku. „Zaleca je się dlatego, że jest łatwiej strawne i pożywniejsze, czego, zresztą, jeszcze nie dowiedziono. Wprawdzie substancje białkowe mięsa krzepną w wysokiej temperaturze i muszą być w żołądku ponownie roztworzone przy pomocy siły trawienia, za to jednakże tkanka łączna, skutkiem gotowania staje się łatwiej rozpuszczalną w soku żołądkowym. Zresztą być może, że pod względem pożywności mięso traci skutkiem gotowania lub pieczenia, lecz za to nie przedstawia niebezpieczeństwa, na jakie narażamy się spożywając mięso surowe, a mianowicie na dostanie się do organizmu pasożytów.“

Wbrew mniemaniu prawie wszystkich higienistów, utrzymuje Brücke, że picie zimnego napoju bezpośrednio po gorącym — nie psuje zębów. Pogląd przeciwny urobił się ztąd, że szklivo zębów porównywano z polewą szklaną, powlekającą naczynia emaliowane, która, jak wiadomo, skutkiem raptownych zmian temperatury pęka; tymczasem szklivo zębów przedewszystkiem stanowi substancją daleko trwalszą, aniżeli glazura, a potem, przy jedzeniu i picu nie zachodzą tak znaczne fluktuacje temperatury, jakie niezbędne są do spowodowania pęknięcia emalii. Ból wywołany skutkiem picia i jedzenia bardzo zimnych i bardzo gorących pokarmów i napojów odczuwanych w miazdce zębowej, t. j. w substancji nerwowej, a nie w kostnej. Można też dzieciom pozwolić pić przy jedzeniu zimną wodę stosownie do ich żądania. Co do spowodowania tym sposobem rozcięcia soku żołądkowego, to pogląd ten nie wytrzymuje krytyki naukowej; to samo odnosi się do wzbraniania napojów przy jedzeniu osobom prowadzącym kurację odłuszczejącą.

Co do mieszkań, to Brücke utrzymuje, że nowe domy, chociażby sztucznie wysuszone, mogą szkodliwie oddziaływać na zdrowie. Jeżeli wypada z konieczności zamieszkać nowo-wybudowany dom, to wprowadzać się powinno na jesień. Zgadza się z innemi, że mieszkania na piętrach są lepiej przewietrzane i oświetlone, lecz zwraca jednocześnie uwagę, że dzieci, skutkiem męczącego chodzenia po schodach, mogą zapadać na chorobę sereową.

Przeciwko kładzeniu dywanów w pokojach wytoczono w ostatnich czasach formalną kampanię. Prócz tego bowiem, że zawierają jakoby kurz i utrudniają jego usunięcie, mają w sobie mieścić wszelkiego rodzaju pasożyty chorobotwórcze. Gdyby tak było w samej rzeczy — utrzymuje Brücke — bogaci chorowaliby znacznie więcej, aniżeli ubodzy, którzy nie posiadają dywanów.

Tymczasem w praktyce nie tak się dzieje. Co zaś do kwestyi bakteriologicznej, do rozprzestrzenienia się suchot płucnych, to wszakże, gdy w pokoju znajduje się suchotnik, nie będzie pluł na dywan; dywany zaś prócz tego, że są piękną ozdobą mieszkań — chronią od oziębienia nóg, a także dzieci od rozbicia się.

Dziwnem jest to, że Brücke nie jest wielkim zwolennikiem przebywania na wsi podczas lata. W każdym razie radzi być wielce ostrożnym przy wyborze miejscowości, albowiem dzieci często nabawiają się choroby, którejby w domu uniknęły, a mianowicie: zimnicy, reumatyzmu, a w niektórych okolicach wola.

Jedną z najtrudniejszych do rozstrzygnięcia kwestyi jest t. z. hartowanie dzieci. Gdy kto w tym względzie posuwa się zbyt daleko, gdy doprowadza owo hartowanie dziecka do przesady, może mu łatwo skrócić życie. Niedosadziwszy zaś, sprowadza się osłabienie i nerwowość. Dawniej posuwano hartowanie do tego stopnia, że noworodków pakowano w zimną wodę! Uznano to dziś za metodę zabójczą, lecz w każdym razie zacyzany hartować dzieci jeszcze zbyt wczesnie. Co do zupełnie małych dzieci, to one w ogólności nie mogą być poddawane hartowaniu. Powszechnie obawiają się wilgotnego zimna, tymczasem — powiada Brücke — daleko niebezpieczniej jest suche, mroźne i wietrzne powietrze, nawet wówczas gdy słońce świeci, albowiem wywiera drażniący wpływ na organa oddychania, a wpływ ten zawsze jest gorszy, aniżeli podrażnienie skóry, którą zresztą łatwo ochronić od zimna odzieniem.

Kapielom przypisują higieniści wzmacniające i odświeżające własności, tymczasem, według Brücke, utrzymują one u małych dzieci skórę w czystości, poza tem nie więcej. „Czystość jest tak piękną i pożądaną rzeczą, że nie potrzebuje od Hygieny zapożyczać sobie polecających tytułów. Dopiero po skończeniu 7-go roku życia działać można zimnemi kapielami jako środkiem hartującym. Temperatura ich jednakże nie powinna się nigdy zniżać poza 20° C., a pogląd, że zimniejsza woda lepiej zahartowywa, jest błędny, albowiem w zbyt zimnej wodzie niepodobna pozostać tak długo, jak to jest niezbędne w celu ochłodzenia organów wewnętrznych.

Hartowanie nie powinno nigdy dotyczyć snu. Małe dzieci powinny spać tak długo, jak im się spodoba. „Pośne snu niezbędnego do wypoczynku zależy od temperamentu, a głównie od stanu systemu nerwowego. W żadnym razie ci, którzy potrzebują wiele snu, nie powinni być uważani bezwarunkowo za śpiochów, raczej kłaść stan ten należy na wyższość ich stanu duchowego, na wzmoczoną pracę ich umysłu.“

Co do odzienia, Brücke załatwia się w krótkości: „ponieważ w tym względzie panuje i decyduje moda, przeciwko której wszelkiego rodzaju przepisy Hygieny są grochem rzuconym na ścianę“. Odnosnie do gorsetu, tak bezwarunkowo potępianego przez wszystkich lekarzy, okazuje się autor w wysokim stopniu tolerantantem; żąda tylko, aby nie był zbyt ciasny, a więc, aby nie stawał na przeszkodzie w swobodnym oddychaniu i w rozrastaniu się, a także, aby nie był zbyt długi. „Pozostaje jeszcze gorseciarzom dokonać wynalazku, t. j. wynaleźć gorset taki, któryby dokładnie siedział na biodrach, i główny punkt ucisku wywierał poniżej środka brzucha, a nie powyżej. Przy odpowiednim zastosowaniu fiszbinów i brykli cel ten zdaje się być możliwym do osiągnięcia.“

Ćwiczeń cielesnych nie należy rozpoczynać w zbyt młodym wieku, ani też ich nie przeciągać poza ściśle ograniczony czas, tymczasem grzeszy się w tym względzie dwustronnie. Dla dzieci od dziewiątego do jedenastego roku życia właściwą jest zabawa w żołnierzy z drewnianą bronią, od jedenastego do piętnastego roku gymnastyka odpowiednia do rozwoju sił, a dopiero po piętnastym można pozwolić na gymnastykę z przyrządami. Zresztą ćwiczenia cielesne odnosić się powinny więcej do właściwego trzymania się i zręczności, aniżeli do wyrobienia siły; stosuje się zaś to przedewszystkiem do dziewczynek, u których pod prawidłowym trzymaniem się rozumie się zupełnie co innego, aniżeli u chłopców. Jeżeli kobiety niektó-

rych górskich okolic posiadają tak piękną postawę, co w przyszłym ich życiu odgrywa bardzo ważną rolę, to dlatego głównie, że od młodych lat noszą ciężary, nie na grzbiecie lub w rękach, lecz na głowie. Byłoby bardzo do życzenia, aby nauka gymnastyki skierowaną była przeważnie w tym kierunku, przyczem można się przyzwyczajać do noszenia nieznacznych ciężarów na głowie. Wreszcie zastanawia się znakomity fizjolog nad pielegnowaniem oddzielnych części organizmu, nad uniknięciem zatrucia i choroby zaraźliwej, o czem mieliśmy sposobność niejednokrotnie mówić w tem miejscu, dlatego też powtarzać rad Brücke'go nie będziemy.

Oto główne poglądy, zawarte w dziełku Brücke'go. Zapoznanie się z całością, — napisaną w sposób prawdziwie pouczający, a co najważniejsza, zajmujący, czem niewiele prac z dziedziny higieny i medycyny popularnej pochwalić się zdoła, — można śmiało każdemu zalecić. Dlatego też, powtarzamy raz jeszcze: byłoby wiele do życzenia, aby praca ta została jaknajrychlej przyswojoną naszej literaturze.

D-r. Józef Starkman.

JEREMI

NOVELLA.

„Si vous êtes pierre, soyez aimant,
Si vous êtes plante, soyez sensitive,
Si vous êtes homme, soyez amour.“
Victor Hugo.

Było to chłopię szczupłe, wiatle, w grubej płócienniej koszulinie, podpasanej rzemykiem, przy którym wisiał kozik za cztery grosze na jarmarku kupiony. Szeroko na piersiach rozchodząca się koszula ukazywała szkaplerz i mosiężny medalik z wizerunkiem Najświętszej Panny. Twarz ściągła, o zapadłych policzkach, zezerniała od wiatru i słońca, brzydką-by była gdyby nie para wielkich, niebieskich oczu, głęboko w głowie osadzonych a błyszczących gdzieś wiecznie w przestworzu. Dziwnie-bo to były oczy smutne, rozmarzone, a takie poważne i myśłące, że zdawało się przez — omyłkę tylko dostały się tej nędznej chłopcynie.

Na imię było mu Jeremi.

Zkąd się wziął? — sam nie wiedział; po świecie Bożym chodził ze ślepym dziadem lirnikiem, prowadząc go za rękę, a w drugiej niosąc kij sekaty, którym od psów się opędzał; przekonany był, że matki nigdy nie miał, bo gdzieżby mu się podzielał? Stary lirnik w polu go kiedyś znalazł i był mu całą rodziną, całym towarzystwem; z torbą przez plecy przewieszoną wędrowali tak z miejsca na miejsce.

Gdy do wioski jakiej się dostali, to i kromka chleba i krajanka sera częstowani byli.

Czarne, kościste palce po strunach przebierały, wydobywając monotonne, przytłumione dźwięki, głowa, ze wzruszenia czy starości, lekko drżała, a pasma białych włosów spadały w nieładzie na szarą, łataną szwę.

Najlepiej-to już im po futorach bywało — a futorów kilka tu było i w każdym rozciągała się duża pasieka. Pasiecznicy znali dobrze starego lirnika: po kilka dni nieraz u nich przesiadywał i rozmaite wyśpiewywał pieśni; dodawał, ujmował, coraz nowe tworząc opowieści, a końcówki zawsze mu się schodziły.

Jeremi milczał i słuchał; lirnik ucichał, a on dalej słuchał — słuchał tej pieśni starej, tajemniczej, co ją drzewa szumiące powtarzały sobie w długim rozhowerze, co świergotem ptaśzat i brzękiem pszczołek rozbrzmiewała w przestworzu. Pieśń ta do snu go kołysała, pieśń ta go budziła, a gdy się tak długo, długo w nią wsłuchiwał, to go żalność jakaś — za serce chwytala — za czem? — sam nie wiedział, czy za tą wodą, co wdał gdzieś

plynęła, czy za tem słońkiem co za górą się skryła?.....

Świat cały był mu jedną wielką pieśnią, pieśnią bez słów, bez początku i końca, pieśnią wiecznej miłości — a miłość tę on w sercu swem nosił: kochał gwiazdy na niebie, kochał kwiaty na łące, kochał szumiące drzew wierzchołki — a miłością tą świat cały wionął, ten świat jak miłość piękny, jak miłość nieskończony i wielki — a nad tą ziemią, pełną łąk i kwiatów i ptasząt śpiewu, panowała wszechwładnie prawem i zaklęciem miłości Najświętsza Panienska.

Jeremi zawsze ją widywał, gdy się do niej modlił, oczy wtedy przymykał, bo na żadnym wizerunku tak piękną nie była, jaką mu się wtedy przedstawiała: szata Jej z obłoków utkana, gwiazdami zasiana, nad jasnym czołem brylantowy sierp księżycy, na nóżkach z niezabudek obuwie, kropkami rosy operlone.....

O! bo Jeremi wiele takich rzeczy widywał, o których innym ani się śniło! Gdy wieczorem nad dużą, spokojną siedział wodą a niebo w niej się odbijało „gwiazdy nad sobą i gwiazdy pod sobą i dwa zobaczył księżycy“, to woda nie była dlań tylko odbiciem rozpościerających się nad nią przedmiotów: ona miała swój księżyc odrębny, swoje własne gwiazdy i mieszkańców swoich..... Gdy się tak długo wpatrywał w zwierciadlaną jej powierzchnię, to w unoszących się nad nią mglistych oparach wdzięczne ruszki w sitowiu widywał. Że je widywał, to najmniejszej nie ulegało wątpliwości, przysięgł-by na to mógł złożyć: one go nawet lubiły, lubiły go, że im w ciechości się przypatrywał, że im w swawolnych płasach nie przeszkadzał; czasem bliźniutko doń podchodziły i ciskały mu w oczy całą garść w księżycu srebrzącej się wody, co, rozbryzgując się w drobne kropelki, zasypywała go gradem brylantów.

Na łąkach znowu wszystkie kwiaty były zaklętami duszyczkami. Jeremi nigdy żadnego nie urwał, a gdy znalazł jaki zwiędnięty lub zdeptany, to go zawsze podnosił, do wody rzucał i tak długo śledził oczyma, aż mu odpłynął daleko, daleko, gdzie go przeznaczenie uniosło.

Jednej jakoś jesieni stary lirnik zaniemógł, i z trudnością włókł się od wioski do wioski. Raz napadło ich w polu straszne wietrzysko, do wsi było daleko, a stary upadał na siłach. Schronili się więc pod krzyż nad drogą, otoczony kilku topolami. — Stary palcami po lirze zaczął przebierać i zmęczonym, ochrypłym głosem nucił: „Święty Boże, Święty mocny, Święty nieśmiertelny“. Wiatr głos jego głuszył, słowa suplikacji coraz mniej wyraźnymi się stawały, aż w końcu całkiem uciechły, a wiatr huczał dalej, piszczał, skowyczał, liśćmi zeschłymi w twarz miotał, zdawał się przedrzeźniać biednego starca.

Jeremi siedział nieruchomie, przykucnięty do ziemi, jak mały, czarny, niewyraźny punkcik. Mrok zapadał, ciemność nocy wszystko ogarniać zaczęła, lek go jakiś zdjął: obejrzał się na drogę: nikogo nie było, ze wszech stron ciemność i pustka; na nagich sterczących topolach wrony jeno kraczały, a na niebie sunęły jedne za drugą, czarne, postrzępione chmury.

„Didu“ — zawołał, zbliżając się do starego — żadnej odpowiedzi. „Didu“ powtórzył głośniejszym, szarpiąc go za rękę, ale ręka zesztyniała, zimna, bezwładnie opadła na struny; lirnik, nie słyszał już, nie czuł, siedział nieruchomie, siwe jego włosy poruszały się tylko z powiewem wiatru. Jeremi stał jak wryty, nie mógł się z miejsca ruszyć w pierwszej chwili, ciarki przeszły mu po ciele, strach go okropny przejął, zniechęcone ręce w rękawy wsunął, konwulsyjnie do siebie przycisnął i co telu zaczął uciekać — dokąd, sam nie wiedział, gdzieś do ludzi, do światła, do ciepła. — Porozrzucane nad drogą drzewa zbliżały się doń, to oddalały, przybiegając dziwaczne kształty nocnych straszylek, co go pochwycić chciały, goniły, wyciągały doń długie swe szpony. Biegł na oślep, nie zdając sobie sprawy z kierunku, jaki obrał, i nie rozróżniając drogi w ciemnościach nocy. Nad ranem dopiero dobił się do wsi.

Lirnika znali tu ludzie, to też złożyli się, by go

po Bożemu w poświęconej ziemi pochować. Jeden dał drabiniak, drugi szkapinę, inni cztery deski zebrali, na prędee trumnę skłęcili, włożyli go do niej i na cmentarz powieźli. Na rozmokłej, rozmięklej od deszczu drodze, wyraźne zostawały koleje, ślady pogrzebowego tego pochodu, błoto na wsze strony bryzgało, a za każdym stuknięciem ciała kołatało się między ścianami nowego swego mieszkania. Zmarły za życia nie miał nigdy własnego dachu nad głową, mieszkał po polach i lasach zielonych, a niebo miał nad sobą: to też i po śmierci ciasno mu było w tej nowej przez nikogo już nie zaprzeczanej siedzibie. — Włożyli go do ciemnej, szarawej jamy, czarną ziemią zarzucili i rozchodząc się już mieli, gdy uwagę ich zwrócił Jeremi, nieruchomie na świeżej mogile stojący; ludzie snadź dobrzy byli, bo nie chcieli mu dać zamrzeć z głodu — jeśli się naradzać: co z nim począć mają?

„Żeby tak pod wiosnę — sarkali — toby to i gęsi pasalo i konina paszę prowadziło, ale teraz na zimę, przyjąc takiego darmożjada, jedną gębę więcej do karmienia: skaranie Boskie!“

W końcu zdecydowano, że go weźmie Bartek, najbogatszy gospodarz we wsi, u którego chleba w bród zawsze bywało, a roboty też nie brakło.

Rozpoczęło się tedy nowe życie dla Jeremiego: wstawał do dnia, przynosił wodę, chatę zamiatł, a gdy nie dość prędko się zwijał, a większa od niego miotła z rąk mu wylatywała, to żelazny kulak gospodyni siarczyście grzmocił go po plecach. Potem chłopczyzna dziecko kołysała, albo pierze dał na przypiecku, a żmudne to było zajęcie: trzeba było skubać każde piórko z osobna, siedząc spokojnie i cierpliwie, bo za najmniejszym poruszeniem puch rozlatywał się na wsze strony; a skubania tego było bez końca, bo aż 6 olbrzymich poduszek przygotowywano dla najstarszej córki gospodarza, co na wiosnę za mąż wychodziła; taką wyprawą żadna we wsi dziewczyna poszczycić się nie mogła, odczuwano też skrytą zawiść do tej szczęśliwej wybranej losów.

A gdy śnieg świat cały zasypał, zadaniem Jeremiego było także odrzucenie go z przed chaty. Przy tej robocie ręce i nogi podmrażał — o butach, naturalnie, i mowy nie było, któżby tam buty sprawił — takiemu przybądźcie!

Strawy cieplej rzadko kiedy dostawał; gdy do obiadu lub wieczery wszysej za stołem siadali i każdy łyżką swą do ogólnej misy sięgał, to Jeremi w kącie gdzieś zostawał, nie pechał się jak inni, ciechy był, nieśmiały, i tak chleb ten, którym go z łaski karmiono, zółcią mu był zaprawiany. Tęsknica nim straszna owładła, złe mu tu było, ciasno, jakaś siła nieprzeparta ciągnęła go w pole, w lasy, gdzieś daleko od ludzi, gwaru, kłótni, — wymizerowany też był okrutnie, gdy wiosna nastąpiła.

Wiosnę Jeremi wymarzył sobie, wymodlił, a gdy owionęła go ożywcem swem tchnieniem, gdy czar swój rozlała w całej naturze, strojąc ją w przeróżne barwy i ożywiając tysiącami najrozmaitszych dźwięków, co zlewając się w przedudną harmonią napełniały duszę nadzieją i wiarą, to jemu radość jakaś nieokreślona piersi rozsadała, chciałby się śmiać i płakać i śpiewać naprzemian.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Wystawę myślistwa otwarto w Petersburgu. Wystawa higieniczna będzie tam otwartą w połowie Maja z trwaniem do końca Czerwca. Wystawę elektryczną zamknięto.

— Ogrodnicy z południowych okolic Rossyi pragną założyć towarzystwo udziałowe z celem podniesienia handlu owocami, zwłaszcza na wywóz zagraniczny.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż na ogólnem

zebraniu towarzystw assekuracyjnych podniesiono kwestyą udzielania zapomóg pieniężnych mniej zamożnym strażom ochotniczym.

— Według ostatniego spisu ludności — Warszawa posiada 490.417 mieszkańców: 230.634 mężczyzn, 259.783 kobiet. W tej liczbie jest mieszkańców stałych 244.929, niestałych 245.488.

— Wystawa konkursowa z zapisu Kuryerowa, odbywająca się w środkowej sali Tow. Sztuk Pięknych, zgromadziła blisko dwadzieścia obrazów. Najcenniejszym między niemi jest obraz St. Radziejewskiego: na tle leśnego krajobrazu dwie postacie niewieście: panienska ze dworu i dziewczyna wiejska. Pociąga mile oczy także krajobraz leśny Stankiewiczówny, a spotykamy go jeszcze na płótnie Alchimowicza: dziewczyna siedząca wśród lasu. Rzeźba jedna tylko, Antoniego Olesińskiego: popiersie kobiety, otrzymała nagrodę: 360 rs.

— Fundusz gromadzony przez Tow. Sztuk Pięknych w celu wzniesienia własnego gmachu, pomnożył się przez dwa zapisy testamentowe, a to: ś. p. Janusz hr. Roztworowski zapisał na ten cel 3.000 rs.; ś. p. Anastazy z Głowackich Hadziewiczowa, wdowa po profesorze malarstwa i niegdyś członku Tow. Sztuk Pięknych, Rafale Hadziewicz, rs. 500. Obecnie fundusz posiadany na ten cel przez Towarzystwo doszedł do znacznej już summy 57.000 rs.

— Komitet zajmujący się sprawą pomników dla ś. p. Żółkowskiego i Królikowskiego, które dla uczczenia ich pamięci postanowiono wzniesić w gmachu teatralnym, donosi, iż mimo składek zebranych początkowo i summy powstałej z widowiska, danego na ten cel przez Modrzejowską w Teatrze Wielkim, brak środków nie pozwala doprowadzić zamiaru do skutku. To, co zebraniem zostało, starczyło ledwie na wykonanie posągów w gipsie przez Wołydygę i Lewandowskiego, którzy nawet za pracę swoją nie otrzymali jeszcze honorarium. Aby przedsięwzięcie stać się mogło czynem, potrzeba 7.000 rs., a składki zupełnie ustały. Zamówiony przez rodzinę Żółkowskiego u rzeźbiarza Pyrowicza pomnik, przeznaczony na grób, jest już bliskim wykończenia. Przedstawia on zlamaną kolumnę i gieniusza sztuki, który wieńczy popiersie zmarłego, wykonane z białego marmuru karraryjskiego. Kolumna będzie, z kamienia sztylowieckiego. Odsłonięcie nastąpi w rocznicę śmierci nieodżałowanego dla sceny naszej artysty.

— Komitet zajmujący się sprawą posagu Fredry, przyzwawszy do współudziału rzeźbiarzy: Barączę, Dykasa, Harasimowicza, Lewandowskiego, Markoniego, oraz malarza Stykę, naradzał się nad jego wykonaniem. Zaprojektowano posąg z białego marmuru w postawie siedzącej, komitet postanowił rozpisać konkurs, zapraszając do niego wszystkich naszych rzeźbiarzy. Obok nagrody, przyznanej projektowi, uznanej przez sąd konkursowy za najlepszy, dwa odznaczające się wyższmi zaletami otrzymają odpowiednie nagrody. Posąg będzie odsłoniętym w 1893 r., w setną rocznicę urodzin znakomitego komedyopisarza.

— Szósty z kolei odczyt na dochód Osad Rolnych: „Co to jest choroba?“ wypowiedział Dr Nussbaum; drugi i trzeci teje treści, wygłoszone przez tegosamego prelegenta odbędą się wieczorem dnia 31 marca i 2 kwietnia.

— Na dorocznem ogólnem posiedzeniu członków wydziału Tanich Kuchni, odbytem pod przewodnictwem vice-prezesa zarządu Tow. Dobroczynności, p. Józefa Lewandowskiego, wykazaniem zostało, że wszystkie trzy kuchnie: na Podwalu, na Krakowskim-Przedmieściu i przy ulicy Czerniakowskiej miały dochodu za obiady i śniadania oraz zużytkowane odpadki 56.671 rs. Ponieważ wydatki wraz z tem, co odchodzi na amortyzację długu zaciągniętego na urządzenie Kuchni, zabrały 58.801 rs., zatem niedobór przedstawia ogółem 2.299 rs. Głównie spowodowała to Kuchnia Nr 3, mieszcząca się przy ulicy Czerniakowskiej. Ponieważ ludność fabryczna, licząca zamieszkuje tę dzielnicę miasta, więc robotnicy zajęci pracą w tych okolicach jadają w domu, co trzeba nazwać najpomyślniejszym stanem.

— Sprawozdanie Tow. Jedwabniczego, ogło-

szone w roczniku Towarzystwa, wykazuje stan względnie pomyślny. Towarzystwo liczyło w roku sprawozdawczym 104 członków, z tych zmarło w ciągu roku 3, przybyło 6. Dochodu było 990 rs.; wydatki wyniosły 764 rs., zatem osiągnięto przewyżki 225. Ponieważ kapitał, przekazany Towarzystwu przez Spółkę Jedwabniczą, przedstawiał 5.573 rs., przeto obecny majątek Towarzystwa wynosi 5.798 rs. Członków liczy Towarzystwo 107. Pismo nasze wykazuje od lat dawnych pożytki, jakie przynieść może krajowi rozszerzony przemysł jedwabniczy, a że jest to gałąź pracy kobiecej, u kobiety też upominać się należy krajowi: dlaczego rozwój gospodarstwa i przemysłu jedwabniczego nie jest takim, jakim być może, a jednak wytworzyłoby się przez to źródło dochodu, jakiego wsie nasze nie mają zawiele.

— Dyrekcja teatrów warszawskich udzieliła pozwolenia artyście teatru krakowskiego, R. Żelazowskiemu na gościnne występy, które się rozpoczną w pierwszej połowie Kwietnia.

— Sienkiewicz opuszcza Kraków i udaje się dla kuracji do Kaltenleutgeben, ponieważ udęrcza ją go jeszcze następstwa przebytej w Afryce febry.

— Lekarze warszawscy zamierzają wydzierżawić Szczaśnię od krakowskiej Akademii Umiejętności na długi czas.

— Krakowskie Tow. Sztuk Pięknych przeznaczyło do rozlosowania dla członków Towarzystwa, odbytem w d. 25 marca, 130 dzieł sztuki, a mianowicie: 60 obrazów olejnych, 9 akwareli, 8 rzeźb i 40 albumów, ogólnej wartości 10.250 zł. reńs. Zapłaconych akcyi Towarzystwa było w roku ubiegłym 6.300. W r. 1891 przybyło Towarzystwu 300 członków.

— Pogadanki pedagogiczne, w których biorą udział najlepsze siły Krakowa, cieszą się znacznym powodzeniem.

— Prof. Rostafiński miał w Muzeum Przemysłem pogadankę dla kobiet—o perfumach.

— Przyspieszenie akcyi ratunkowej dla dotkniętych głodem okolic Galicji Zachodniej było przedmiotem głosu, który poseł Struszkiewicz wniósł w sejmie, wzywając komisyją budżetową i wydział krajowy, aby poruszono wszelkie możliwe środki pomocy. Wykazywał on na podstawie liczb, że głód tegoroczny przewyższa wszystkie tego rodzaju klęski, zaznane od lat kilkunastu. Następnie posłowie: Asnyk, Zoll, ks. Kowalski i włościanin Kramarczyk poruszyli kwestyą podniesienia pensyi nauczycieli wiejskich. Według obliczenia Zolla koszt tego polepszenia wynieść muszą 16.000 zł. Obecnie płaca nauczyciela nie przewyższa zarobku prostego robotnika; więc też wnoszenie seminariów nauczycielskich i stypendya nie nie przyniosą bez podwyższenia dochodu nauczycieli, których brakuje obecnie 3.000. Następnie poseł Merunowicz, domagał się funduszu pożyczkowego 300.000 zł. reńs. na budowę szkół wiejskich i włączenie w budżet 50.000 zł. reńs. na cele tych budowli.

— Włoski uczony, prof. uniwersytetu rzymskiego, Angelo de Gubernatis, wystosował do literatów i artystów lwowskich i krakowskich list zapraszający ich do wzięcia udziału w Albumie Międzynarodowym, który wyjdzie we Włoszech w celu uczczenia 400-letniej rocznicy odkrycia Ameryki przez Kolumba. Album to ma być złożone w darze gminie miejskiej Mediolanu, która najpierw podniosła głos, wzywając Włochy do uczczenia pamięci wielkiego człowieka.

— Zakaz obchodzenia w Czechach jubileuszu Komenskigo wywołał protest Rady Miejskiej w Pradze. Czeskiemu Tow. Pedagogicznemu, wyasygnowano na cel tego obchodu 10.000 zł. reńs. a szkole czeskiej w Wiedniu 1.000 zł. reńs. Plac Komenskigo i wszystkie kamienice tej dzielnicy mia-

sta będą świetnie przystrojone we flagi odpowiednie: „Jednota filozoficka“ urządziła uroczyste zebranie, a wśród mów i odczytów, jakie tu miały miejsce, prof. Szmaha wystąpił ze świetnym odczytem, w którym skreślił dzieje Komenskigo w czasie jego przebywania w Lesznie.

— Kompozytor czeski, Karol Bendel, wystawił w Pradze w Narodnym Teatrze, operę „Dziecko Taboru.“ Tłomaczka „Pana Tadensa“ Eliszka Krasnohorska napisała libretto. Rzecz się rozgrywa wśród wojen husyckich. Ostatnia scena dała reżysseryi sposobność wytworzenia żywego obrazu ze znakomitego dzieła pendzla Jarosława Czermarka „Husyci przed Neunburgiem.“

— Czescy wychodzący do Ameryki poczynają wracać do kraju. Jakkolwiek początkowo dorabiali się tam majątków, teraz już i chleba znaleźć nie mogą. Niedawno przybyła do Pragi cała partya biedaków zubożałych i obdartych. Stracili to nawet, co zabrali ze sobą z kraju.

— Klub turystów czeskich postanowił urządzać w lecie wycieczkę do Zakopanego.

OD WYDAWCY.

„Bluszc“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszc“ dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem **Na nowym lądzie**, przez Perfalla. Przekład z niemieckiego.

Cale dzieło rs. 6.

Zeszyt 25 kopiejek.

NOWY TESTAMENT PANA NASZEGO JEZUSA CHRYSYSTUSA

podług tekstu łacińskiego Wulgaty.

PRZEKŁAD X. JAKOBA WUJKA.

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską

Wydanie nowe in folio z komentarzem

Zaaprobowane przez Konsystorz Archidiecezyi Warszawskiej
ozdobione 78 wspaniałymi ilustracyami

GUSTAWA DORÉ

Cena dzieła rs. 6 z przesyłką pocztową rs. 7.

W pięknej oprawie ze złoceniami i brzegami złożonemi w futerale rs. 10—
z przesyłką rs. 11—do odleglejszych gubernij Cesarstwa rs. 12.

Dzieło to nabywać można również **częściowo** to jest zeszytami; zeszyty rozsyłane będą co 10 dni.—Zeszytów jest 24. Cena zeszytu 25 kop. pocztą 32, na prowincyę ekspedjuje się po 5 zeszytów naraz.

Księgarnia M. ARCTA, ulica Nowy-Świat N. 53.

Można nabyć lub prenumerować to dzieło—również za zaliczką pocztową;—znajduje się we wszystkich księgarniach.

TREŚĆ: Pierwszy rok małżeństwa, przez M. I. — Przedwiośnie, przez Mortana (wiersz). — Pierzchliwy ptak powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg). — Hajota. Nad przepaściami (wrażenia z gór Afrykańskich) (dalszy ciąg). — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej, przez Dar Józefa Starkmana. — Jeremi nowella. — Z bieżącej chwili. — Ogłoszenia.

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi powieści pod tytułem **Na nowym lądzie** przez Perfalla. Przekład niemieckiego. Przegląd mód. 27 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

PRZEGLĄD MÓD.

Ogólny pogląd na obecne mody. — Materyały i fasony okryć. — Złota mniej używają. — Suknia ślubna w Paryżu.

Moda obecna przyjęła jako typ, trzy style: Renaissance, odznaczający się prostotą i upodobaniem do form greckich; Rokoko, którego charakterystyczną oznaką jest fałda Watteau i styl Dyrektoryatu o liniach prostych, uwydatniających figurę. Atlas, mora, brokat genueski, stanowią podstawę tych tualet, przyczem jako ozdoba aksamit gładki w odpowiednim kolorze najwłaściwiej daje się zastosować. Usiłowania powrotu do tak zwanych „paniers“ nie powiodły się, i w Paryżu zarówno tualety balowe jak rautowe, oraz kostiumy wizytowe i spacerowe powinny być tak obcisłe jak rękawiczka, co się stosuje nawet do tualet w stylu „Rokoko.“ Suknie rautowe przybierają w części przedniej koronkami, tren zaś pozostaje zupełnie gładki, lub w dolnej części otoczony falbanką. Przybranie boków „en panneaux“, ładnie uzupełnia gładkie obcisłe suknie, robią je z aksamitu, w cieniu odpowiednim do materyału sukni. Wycięcie sukien rautowych po największej części podłużne „en coeur“, dawny okrągły wykrój mniej jest już używany. Rękawy utrzymują się dotąd bufiaste w górnej części, ale bez przesady, czyli że nieco już są niższe, gładkie, niemal opięte przy ręku i bardzo długie. Staniki długie po większej części całe w draperyach.

Jako ozdoby, oprócz aksamitu używane są pasmanterye błyszczące, a przede wszystkim koronki i to bardzo dużo koronek.

Mody występują jak grzyby z ziemi po deszczu, za ledwie ukaże się jedna, a już druga przychodzi ją pobijać. Dla tego to osoby mniej zamożne, powinny się trzymać na uboczu od wszelkich ekscentryczności, dozwolonej tylko wybranym.

Obecnie należy się pożegnać z wszelkimi ciężkimi okryciami. W tym celu fabryki przygotowały mnóstwo odpowiednich wiosenne materyałów, a magazyny mód, może jeszcze więcej różnorodnych fasonów.

Jako materyały najwyżej są cennie angielskie szewioty, gładkie w deseń lub w kraty. Materyały te, doskonałego wyrobu najodpowiedniejszymi są na wszelkie zmiany wiosennego powietrza. Na pierwszym planie co do fasonów, moda utrzymuje pół-długie palto-ty, weinane w plecach, a luźne z przodu. Robią się z wielkimi wyłogami lub kołnierzami a często z pelerynkami.

Szewiot, tkany z przędzy różnobarwnej, właściwie niema żadnego wybitnego koloru, jakkolwiek jest mieszaniną zielonego, popielatego, żółtego, niebieskiego, pomarsowego i białego koloru, właściwym jest na wszelkie wiosenne okrycia.

Materyały angielskie, miękkie jak puch „himalaya“, nadają się na rotundy długie i pół-długie, oraz na powracające do mody długie płaszcze z pelerynami. Następnie zawsze modne, cienkie sukienka „foulée“, „neige“, z których robią długie podróżne „capes“ z kapturkiem i fałdą „Watteau“. Płaszczki takie zalecają się z tego względu, że pelerynka od nich może być noszona oddzielnie. Piękne i bardzo przyjemne w użyciu okrycia wyrabiają z szalów z frendzlą i szlakiem odpasowanym.

Bardzo wygodnem ubraniem na ulicę lub w podróż stanowi, spódnica z materyału angielskiego z takimże paltocikiem, zamiast stanika bluzka z materyału jedwabnego, fularu lub „surah“, popeliny irlandzkiej lub bengaliny. Do tego pasek skórzany z klamrą, lub też pasek z grubo tkanej taśmy białej, czarnej lub granatowej z klamrą srebrną lub oksydowaną. Niema w tem nic nowego, ale jako rodzaj ubrania bardzo praktyczny, nie może być pominięty.

Złoto, zdaje się ustępować z widowni mody a zwłaszcza przy paletotach i okryciach, które przeważnie ozdabiać mają, pasmanterya perłowa czarna i koronkami czarnymi cieńszymi lub grubszymi. Mała ilość złota pod postacią wąskich pletni utrzymuje się przy sukniach wełnianych w jednym kolorze.

Wracamy do szerokich pasków zwanych „bébé“, czy to plisowane, czy gładkie będą bardzo noszone.

Na zakończenie dzisiejszej naszej modnej pogawędki, przytoczę tu opis tualety jednej z najwyższej arystokracji oblubienicy, czerpanej z prywatnej naszej korespondencji. Suknia biała atlasowa zupełnie opięta, z trenem kwadratowo ściętym, cała przybrana w około brzegu sznurem z pomarańczowego kwiatu. Stanik drapowany w formę gorsecika, na wszystkich konturach zdobił także sznur pączków kwiatu, z pod którego spadała stara marszczona koronka. Włosy ułożone po grecku, to jest tak, aby forma głowy była widoczna, pokrywał bardzo suty welon, gładki, tiulowy, przy-

pięty małym wianeczkiem kwiatu pomarańczy, do terazniejszego bowiem czesania żadne diademy lub szerokie girlandy miejsca mieć nie mogą.

L. C.

Przepisy gospodarskie.

Gotowanie i krajanie szynki na zimno.

Nie jest wcale łatwą rzeczą umiejętnie ugotować i rozebrać 20 funtową szynkę. Odciać gołonkę siekierą, ułożyć szynkę w duży kocioł w zimną wodę i gotować na dobrym ogniu, do zagotowania godzin cztery, 24 funtową godzin 5 i tak w porównaniu mniejszą, niżeli 20 funtów, krócej. W cztery godziny wyjąć szynkę na stolnicę, jeżeli kość dolna z łatwością się oddziera, to szynka ma dosyć, jeżeli sama się oddzieliła w czasie gotowania, to szynka przegotowana i nie będzie dobrą. Po spróbowaniu kości, włożyć szynkę napowrót w kocioł i albo gotować dalej, jeżeli potrzeba, albo odstawić kocioł i do zupełnego zastygnięcia zostawić ją w sosie, i dopiero zimną wyjąć na półmisek, wtedy będzie soczystą i smaczną. Zabierając się do krajania, należy najprzód ową kość oderwać, a następnie śpiczastym nożem małą kostkę, która leży obok niej, wykręcić można, jakby duży włoski orzech i zerznawszy odrazu od dołu skórę z tłuszczem, ile jej zanadto, zostawiając nieco przy mięsie zacząć krajać tam, gdzie była owa kość, naturalnie z początku będą iść nie ładne kawałki, coraz dalej ładniejsze, doszedłszy do kości goleniowej, odwrócić szynkę i krajać z boku z jednej strony aż do samej goleni, a następnie z drugiej najlepszej strony. Tak gotują i krają szynki najpierwsi wędliniarze warszawscy.

L. C.

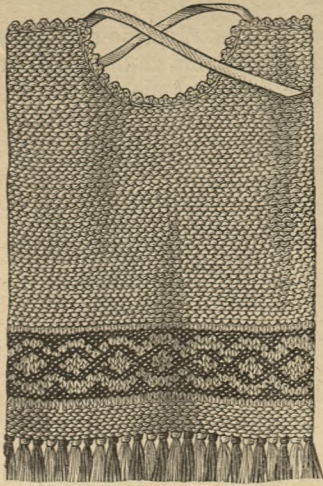
Doświadczenia praktyczne.

Pod mazurki, torty i wszelkiego rodzaju ciasta, nie dobrze jest kłaść papier, bo ten będąc złym przewodnikiem ciepła, nie pozwala się ciastu od spodu dostatecznie zrumienić.

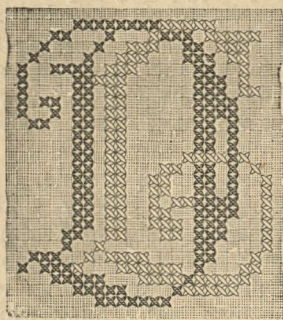


Kapelusze wiosenne i letnie.

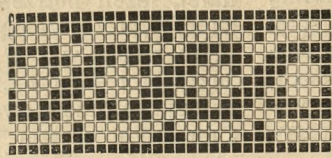
Rycina Nr 1—3.



Nr 5. Serwetka dziecinna (robota drutowa i ścieg krzyżowy).



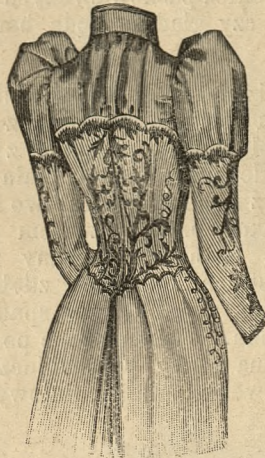
Nr 11. Monogram.



Nr 6. Deseń do serwetki Nr 5.



Nr 4. Tylna część sukni Nr 13.



Nr 7 Tylna część sukni Nr 12.

Kapelusz przezroczysty z czarnego dżetu, przybrany koronką czarną, dwoma piórkami strusimi i bukietem hyacyntów koloru lila. Wstążka czarna aksamitna 3 centim. szerok., związana z tyłu na kokardę. Kapelusz z niską główką, pokrytą czarnym tiulem i opasaną 3½ cent. szer. szlakiem z dżetu. Takież sam szlak wykończa rondo kapelusza, pokryte czarnym fałdowanym tiulem. Przedni brzeg przybrany fantazyjną egretą białą i dwoma rozetami z aksamitu zielonego. Tegoż koloru wstążki do wiązania aksamitne 3 centymetry szerok.



Nr 8. Ubranie dla chłopczyka od 3 — 4 lat (do ryc. Nr 14). Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 20—29.

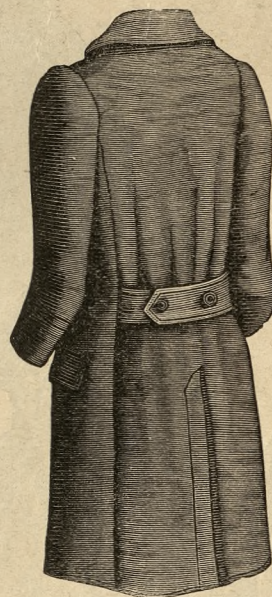
Nr 9. Paltot dla chłopczyka od 6—8 lat (do ryc. Nr 10). Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 45—49.

Kapelusz dla starszej osoby z dżetu przezroczystego, przybrany czarną koronką, różami koloru lila czerwonego i czarną egretą z piór. Wstążki do wiązania aksamitne 4½ centim. szer.

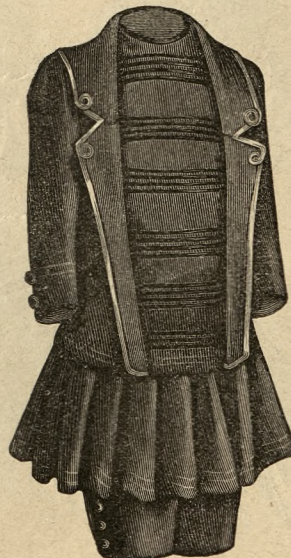
Serwetka dla dziecka (robota drutowa i ścieg krzyżowy).

Rycina Nr 5 i 6.

Serwetka wykonana 6-cio - drutową białą bawełną. Dolny brzeg przybrany szlakiem haftowanym ściegiem krzyżowym bawełną ponsową podług ryc. Nr 6 i zakończony frendzlą wiążaną. Rozpocząć na założeniu 80 oczek, najprzód 15 kolei zwyczajnie, a potem 30 kolei w sposób, ażeby po prawej stronie ocz. wyglądały jak zwyczajne, potem 172 koleje zwyczajnie, ale ostatnie 48 kolei zakończyć na 26 ocz. i wykonać wycięcie szyi, które następnie otoczyć rzędem pikotów szydełkiem, ciągle naprzemian: 1 ściśle oczko w następ. oczko, 1 pikot czyli 4 pow. ocz., 1 ści. ocz. w poprzednie ściś. ocz., 2 ocz. opuścić.



Nr 10. Tylna część paltotu Nr 9.



Nr 14. Przednia część ubrania Nr 8.

Ubranie dla chłopczyka od 3—4 lat.

Rycina Nr 8 i 14. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 20—29).

Ubranie z sukna koloru ciemno-zielonego, ozdobione sutaszem złotym, złożone z majtek, staniczka przypinanego i z kurtki. Skrajac z sukna i z podszewki fig. 20 i 21, z podszewki i czarnego atłasu bawełnianego fig. 22 dwie części, połączyć części majtek podług cyfr. i przy rozporku w dole zaopatrzyć w dziurki i w guziki. Do prawej przedniej części przyszyć listewkę z dziurkami, do lewej odpowiednią z guzikami. Wszyć kieszenie od 37 do 47. Wykonać tylne fałdy i dziurkę do przypinania sta-



Nr 12. Suknia z bengaliny i materyału „foulé“ ozdobiona haftem (do ryc. Nr 7).

Nr 13. Suknia z szewiotu z szlakiem odpasowanym (do ryc. Nr 4).

nika. Po zeszytciu stanika podług cyfr, zaopatrzyć takowy w dziurki i w guziki w tylnej części przyszyć go do majtek z przodu od 44 do 47. Kurtkę skrajać z sukna i podszewki, fig. 24 — 27 po dwie części, fig. 28 jedną część złożoną wzdłuż środka, fig. 29 z uwzględnieniem konturu spodniej części; z podszewki i z podkładu fig. 23 jedną część złożoną wzdłuż środka. Tę ostatnią pokryć odpowiedniej wielkości częścią sukna, którą stosownie do ryciny należy najprzód ułożyć w drobne zakładki. Przyszyć do przedniej części prawej od 48 do 49 (zapinać na lewej). W fig. 24 wykonać nacięcia i wszyć w takowe kieszenie z klapkami. Połączyć plecy z przednimi częściami podług cyfr. Kołnierz zaopatrzyć podkładem, zeszyć od 55 do 56, ozdobić sutaszem i wszyć w kurtkę od 49 do 52. Wykonać falbanę 220 centim. obwodu a 13 centim. wysokości ułożyć w fałdy 4 cent. szer. i przyszyć do kurtki. Rękawy wykonać podług cyfr, ozdobić guziczkami i wszyć, trafiając w 60 na 60.

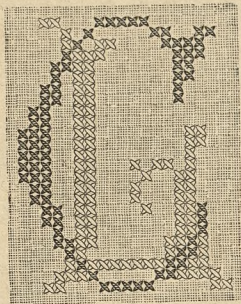
Paltot dla chłopczyka od 6—8 lat.

Rycina Nr 9 i 10. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 45—49).

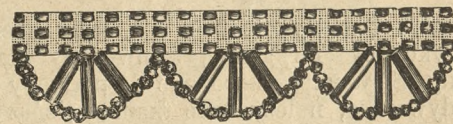
Paltot z materiału angielskiego koloru piaskowego zapinany na ukos. Skrajać fig. 45—47 po dwie części. Fig. 48 jedną część złożoną wzdłuż środka. Rękawy podług fig. 49, ale zwrócić uwagę na kontur prawej przedniej części, spodniej części rękawów, oraz fig. 45 i 46 przydłużyć w kierunku strzałki stosownie do potrzeby. Po wykonaniu w górze w lewej przedniej części małych fałdek oraz nacięć a w prawej tylko dolne, powszywać kieszenie i wykończyć klapkami 3 centim. szerok. Przedni brzeg obłożyć w górnym brzegu na 7 cent., w dolnym na 5 cent. podkładem i materiałem, dalej zaś podszewką z atlasu bawełnianego. Upięcie tylne w pasie wykończyć i przyszyć podług cyfr i znaków. Kołnierz zaopatrzyć podkładem i materiałem, wszyć od 39 do 43, wyłożyć wzdłuż linii zgięcia. W lewej przedniej części wykonać dziurki a do prawej przyszyć odpowiednie guziki. Rękawy wykonać podług cyfr, zaopatrzyć podszewką i wszyć, trafiając w 47 na 47.



Nr 20. Szlaczek z perełek szmelcowanych.



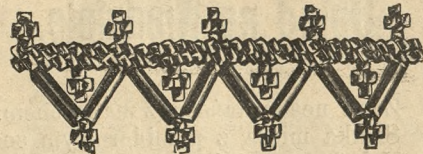
Nr 19. Monogram (ścieg krzyżowy).



Nr 15. Szlaczek z perełek złotych i kolorowych (szerokość oryginalna).



Nr 16 — 18. Guziki emaliowane.



Nr 22. Szlaczek z perełek szmelcowanych.

Suknia z bengaliny i materiału „foulé.”

Rycina Nr 12 i 7.

Suknia z materiału „foulé” koloru piaskowego i z tegoż koloru bengaliny ozdobiona aplikacją z aksamitu w kolorze ciemniejszym, oraz haftem maszynowym. Stanik zapięty z tyłu na haftki, przybrany bengaliną w kształcie bluzki. Rodzaj gorsecika podług ryciny. Spódnica 320 cent. obwodu, podszyta cała jedwabnym materiałem i muślinem do połowy wysokości. Rękawy bufiaste podług ryciny.

Suknia z szewiotu z szlakiem odpasowanym.

Rycina Nr 13 i 4.

Suknia z szewiotu jasno-popielatego z szlakiem odpasowanym koloru granatowego. Spódnica długości

z przodu 104 centimetrów, z tyłu 117 centimetrów, a obwodu 270 centimetrów, podszyta cała alpagą. Pasek pokryty wstążką granatową repsową 4½ centimetra szerokości. Stanik gładki, dolna część zmarszczona, pod spódnicą zapinany, i na lewym boku. Rękawy podwójne podług ryciny.

Przybranie sukni z pasmanterii z pereł.

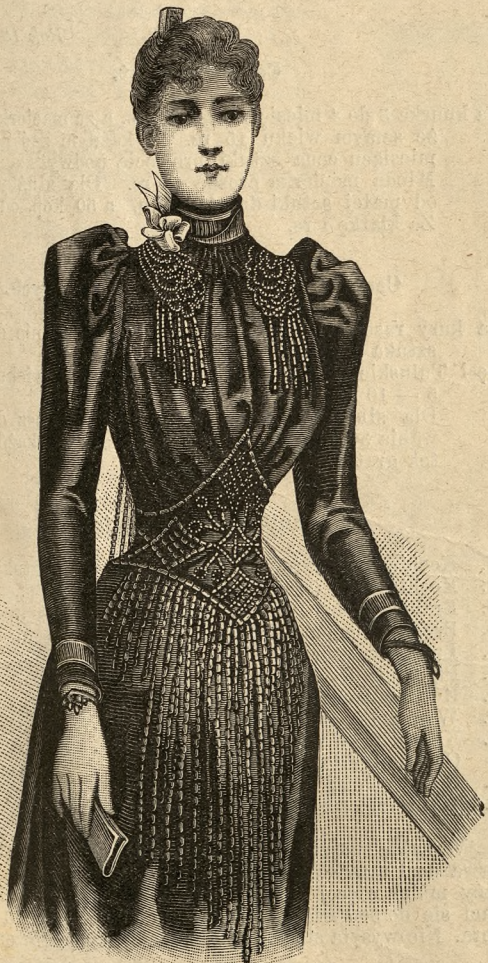
Rycina Nr 21 i 24.

Przybranie właściwe do sukien czarnych albo ciemnych z materiału jedwabnego. Złożone z pół-paska w rodzaju „Médicis,” zakońzonego frendzlą 38 cent. długości. Tylne części pasmanterii złożone z dwóch szlaków 7 centim. szerokości a 42 centim. długości, zakończonych frendzlą 50 centim. długości. Oprócz tego festony z pereł jak wskazuje ryc. Nr 21. Przybranie to przydłuża się przez ramiona ku przodowi i zakończa frendzlą 8 cent. szer.

Marynarka dla chłopczyka od 8—10 lat.

Rycina Nr 23. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 50—53).

Marynarka z granatowego szewiotu, podszyta czarną satinką. Po przydłużeniu w kierunku strzałki stosownie do potrzeby fig. 50 i 51 skrajać takowych dwie części. Fig. 52 jedną część złożoną wzdłuż środka i rękawy z uwzględnieniem spodnich konturów. Wykonać obydwie nacięcia w lewej przedniej części a w materiale prawej przedniej części tylko dolne, wszyć w takowe kieszenie i wykonać klapki, oraz górne fałdy. Następnie obłożyć przednie części spodnie w górze na 11 c., w dole na c. szer. podkładem i szewiotem i przednie brzegi zaopatrzyć w dziurki i wzdłuż linii w guziki. Po zeszytciu pleców z przednimi częściami podług cyfr, wszyć kołnierz od 50 do 54 i wyłożyć takowy, oraz przednie części wzdłuż linii zgięcia. Rękawy zeszyć podług cyfr i wszyć, trafiając na 58 w 58.



Nr 24. Przybranie sukni z pasmanterii perłowej (do ryc. Nr 21).



Nr 21. Przybranie sukni z pasmanterii z pereł (do ryc. Nr 24).



Nr 25. Dywanik „Smyrna“ (robota wiązana).

Dywanik (robota wiązana „Smyrna“).

Rycina Nr 25.

Dywanik 3 metry długości a 2 metry szerokości, wykonany na grubej kanwowej tkaninie włóczką „Smyrna.“ Stosownie do potrzeby wielkości dywanika, należy brać tkaninę cieńszą lub grubszą. Może być również wykonany ścięciem krzyżowym.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa neapolitańska z makaronem.
2. Sztuka mięsa z pomidorowym sosem.
3. Kalafior z masłem.
4. Kapłon z serdelami.
5. Tort hiszpański.

KORESPONDENCYA.*Odp. pani M. J.*

ze składu fortep. Gebethnera i Wolffa.

Jedyny sposób przeciw molom w fortepianie jest: *czyste utrzymanie instrumentu.* Uskutecznia się to pilnem i dokładnem wykurzeniem go wewnątrz przynajmniej dwa razy w roku, t. j. na wiosnę i na jesieni.

Odp. pani Wol. Jas...

Z pomarańcz zrobić wino prawdziwe hiszpańskie, przepis patrz w „Jedynych praktycznych przepisach“ wydanie 14.

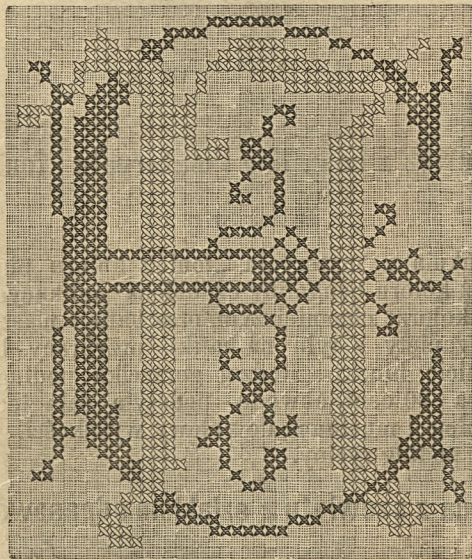
Sposób, o który pani idzie jest w „Poradniku porządku“ wydanie 3, nie mogą go w „Bluszczu“ powtarzać.

U W A G A.

Tablica krojów dołączona do N-ru zeszłego Bluszczu służy też do dzisiejszego.



Nr 26. Monogram.



Nr 27. Monogram.

DOBRA PRAŻMÓW*Pocztą Grójec, (Gub. Warszawska).***HODOWLA TRZODY ANGIELSKIEJ**

WIELKIEJ BIAŁEJ (czystej krwi)

i

DROBIU RASOWEGO.**IZABELLA RYX.***Rok 1892.***Cennik prosiąt.**

Za knurka 3 do 4 miesięcznego 20 rs., a za maciorę w tymże samym wieku 15 rs. W każdym zaś następnym miesiącu cena sztuki prosięcia podwyższa się o 5 rs. Młoda maciora prośna 50 rs. Dla służby 30 kop. od małej sztuki do pół roku, a 50 kop. od dorosłej. Za klatkę 1 rs.

Cennik kur, kaczek i gęsi rasowych.

Za kury rasowe i kaczki Pekinśkie, stosownie do wieku, sztuka 2 1/2 — 5 rs. Gęsi Tuluskie i Emdeńskie, stosownie do wieku, sztuka 5 — 10 rs. Dla służby 10 kop. od sztuki. Za koszt do opakowania 30 kop. Odstawa do Warszawy w każdy czwartek gratis.

Cennik wylęgowych jaj.

1. Kochin żółte (złote)	szuka 25 kop.
2. Kochin białe (srebrne).	„ 25 „
3. Brahma jasne.	„ 25 „
4. Brahma ciemne.	„ 20 „
5. Langshan czarne.	„ 20 „
6. Plymouth-Rock jarzębate.	„ 20 „
7. Houdan czubate.	„ 20 „
8. Wyandotty srebrzyste.	„ 20 „
9. Kaczki Pekinśkie, wielkie, białe.	„ 30 „
10. Gęsi Tuluskie, olbrzymie.	„ 50 „
11. Gęsi Emdeńskie, wielkie, białe.	„ 50 „
Za opakowanie tuzina lub mniej jaj.	„ 10 „

Wysyłka pocztą z Grójca rozpoczyna się 15 Marca i trwa do 1 Czerwca. Paczka 12 jaj kurzych lub kaczek waży mniej więcej 9 funt.; tyleż gęsi 19 funt. Za porto płaci się do 300 wiorst 5 kop., do 500 wiorst 10 kop. od funta. Nie wysyła się jaj za zaliczeniem pocztowym.